POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 5-go lipca 1941r.* **Rok III. Nr. 27**

WYROKI HISTORII

Żadna wojna nie jest podobna do poprzedniej. Nowa broń, nowe wynalazki zmieniają oblicze bitew.

Ale jeśli zmieniają się formy wojowania, podstawowe zagadnienia wojny pozostają niezmienne. Adolf Hitler, gotując się do ostatecznej rozprawy ze swym głównym wrogiem, tj. Wielką Brytanią, zastanawiając się, w jaki sposób osiągnąć zwycięstwo, które mu się wciąż z rąk wyślizguje, wahając się między atakiem frontowym, a okrężnymi drogami zaatakowania potęgi brytyjskiej, stoi wobec zagadnienia, które już inni przed nim próbowali—napróżno!—rozwikłać. Niemal te same zagadnienia musiał rozstrzygać Napoleon. Bardzo podobne s[illegible] przed generałami Wilhelma [illegible]

Hitler sądzi, że uda mu się to, co nie powiodło się Napoleonowi. Niewątpliwie niejedną godzinę spędził na medytowaniu decyzji powziętych przez poprzedników w podobnych okolicznościach. Musiał też dojść do wniosku, że właściwie próbowali oni wszystkich dróg i że nic nowego wymyślić nie może. Pociesza się więc myślą, że choć będzie robił to samo, co Bonaparte czy Ludendorff, to jednak zrobi to lępiej. . . .

Dla bezstronnych jednak obserwatorów dzieje wojen napoleońskich i wojny 1914-1918 niosą w sobie nieubłagany wyrok historii dla ambitnego wodza, sięgającego po władzę nad światem, a nie pos[illegible]jącego panowania nad morzami.

Do różnych momentów w wojnach napoleońskich można przyrównywać chwilę obecną. Wypadki biegną teraz, w dobie "Blitzkrieg'u" szybciej niż przed 140 laty. Ówczesnym latom odpowiadają dziś miesiące. Można bez przesady powiedzieć, że okres 18 lat, zamknięty klamrą dwu pamiętnych lat 1798 i 1812, przeżyliśmy ponownie w ciągu ostatnich 10 czy 11 miesięcy.

Rok 1798. Rewolucyjna Francja po raz pierwszy nosi się z zamiarem inwazji W. Brytanii. W tych samych portach, które od roku bombarduje RAF, czynione są przygotowania. Pod koniec zimy młody, obiecujący generał Bonaparte, wysłany zostaje do Boulogne, by orzec czy można podjąć próbę.

Jedzie i pisze raport do Paryża, że to rzecz beznadziejna. Doradza, żeby planów inwazji zaniechać, zamiast tego zaś zaleca . . . uderzenie na Wschód—wyprawę na Egipt. Choć nie ma jeszcze kanału Suezkiego, choć przez Egipt nie wiedzie jeszcze żywotna arteria wielkiego Imperium, to jednak można by tam, na Bliskim Wschodzie, zadać ciężki cios handlowi brytyjskiemu.

Brytyjska potęga morska pokrzyżowała wschodnie plany Napoleona. Musi on po paru latach powrócić do sprawy inwazji. Tym razem sam kieruje przygotowaniami, gromadzi w Boulogne czterystutysięczną armię, buduje flotyllę łodzi płaskodennych. . . . Ale znów musi w końcu dojść do przekonania, że przewaga brytyjska na morzu czyni operację zbyt ryzykowną. Jednocześnie czuje się Napoleon zagrożony na tyłach, gdzie powstaje koalicja austriacko-rosyjska. . . . Decyduje się więc zaniechąć inwazji i odtąd już do niej nie powróci. Choć wrogiem głównym jest dlań i pozostaje Anglia, musi, chcąc nie chcąc, próbować walki z innymi krajami próbować ugodzić Anglię pośrednio. Blokada, chęć pobicia Anglii jej własną bronią, wciąga go w co raz nowe wojny. W pewnym momencie jest panem całej Europy tak, jak jest nim dziś Hitler. Car jest przez dość długi czas jego sojusznikiem tak, jak był nim do niedawna Stalin. Ale plan zmobilizowania przeciw W. Brytanii całej Europy wciąga go w końcu w wojnę z Hiszpanią, a następnie, w roku 1812, zmusza go do marszu na Rosję.

Czyż, za wyjątkiem awantury hiszpańskiej /a co się odwlecze, to nie uciecze, jak powiada przysłowie/ nie przeżyliśmy tego wszystkiego i w ciągu ostatnich miesięcy?

Napoleon nie próbował inwazji, choć się do niej przygotowywał. Obrał i konsekwentnie do końca realizował metodę drugą—metodę pośredniego wojowania z Anglią. Nie wiadomo więc jak wypadłaby próba inwazji. Wiadomo jednak, że metoda "pośrednia" zwalczenia Anglii nie dała wyniku. To jest historii lekcja nr. 1.

Drugą, nad którą Hitler musi medytować, jest lekcja wielkiej wojny. Choć wówczas zagadnienie nie polegało na tym, czy podejmować próbę inwazji, czy nie, to jednak w swej zasadniczej treści było podobne. Jak w każdej wojnie, chodziło o to, czy uderzyć w punkt najsilniejszy, szukając rozstrzygnięcia czy też bić w punkty słabe, grając na przetrzymanie.

Okres, który mamy za sobą, przypominał pod wieloma względami początek roku 1916. Wielomilionowe armie stały wówczas naprzeciw siebie przedzielone trudną do pokonania barierą. Front ustabilizował się i wzajemne umocnienia, w połączeniu z morderczą siłą ognia, czyniły przełamanie go rzeczą niemal tak trudną i kosztowną, jak dziś przezwyciężenie zapory wodnej, dzielącej Anglię od kontynentu.

U progu tego roku gen. Falkenhayn musiał wypowiedzieć się, jaki plan kampanii zaleca. Dwie miał możliwości. Jedna: użyć znanego, niemieckiego wyrażenia "uderzenie w serce": skupienie wszystkich niemal sił dla zadania decydującego ciosu tam, gdzie zwycięstwo oznaczałoby triumf bodaj ostateczny i gdzie tylko mogło nastąpić rozstrzygnięcie. To "uderzenie w serce," którym dziś byłaby próba inwazji, wówczas nazywało się: Verdun. Zdobycie tej kluczowej pozycji, podstawy całego systemu obronnego Francji, doprowadziłoby zapewne do załamania się sprzymierzonych. Druga koncepcja możliwa, to było szukanie miejsc słabych aliantów, defensywa na zachodzie, podbój Rumunii, wykończenie Rosji, marsz ku bogatej Ukrainie, ku nafcie Baku.

Wiemy co wybrał Falkenhayn. Niemcy uderzyli na Verdun, ale ten sztych w serce ześlizgnął się po żebrach. Milionem ludzi zapłaciły Niemcy za tę nieudaną próbę.

Hitler stojąc na progu roku 1941 wobec podobnego wyboru, nie poszedł w ślady Falkenhayna, nie uderzył tymczasem w dzisiejsze Verdun—fortecę wyspiarską W. Brytanii. Skłonił się ku drugiej koncepcji. Przenosi nas to od razu w rok 1917. Podobieństwo z tym rokiem jest szczególnie jaskrawe. Jest to rok, kiedy Niemcy rezygnują—chwilowo—z "uderzenia w serce" i z rozstrzygnięcia na froncie zachodnim. Usiłują z jednej strony wygrać wojnę za pomocą łodzi podwodnych, z drugiej koncentrują się na likwidacji frontu wschodniego.

Jest to, pamiętajmy, rok interwencji amerykańskiej. Ale Niemcy łudzą się, że zdołają nie dopuścić, by pomoc amerykańska dotarła do Europy. W kwietniu 1917 akcja łodzi podwodnych osiąga największe nasilenie i—największe sukcesy. Niemcy spodziewają się, że wygłodzą Anglię i zmuszą ją do kapitulacji zanim pomoc amerykańska zdoła zaciążyć na szali wydarzeń. Znamy te złudzenia.

Ale jednocześnie, jakby przeczuwając, że te nadzieje okażą się złudne, decydują za wszelką cenę zlikwidować front wschodni, aby w ten sposób zwolnić wszystkie siły do końcowego uderzenia na Zachód w dalszej przyszłości, jak również, by stworzyć sobie szerokie zaplecze gospodarcze, z którego mogli by czerpać żywność i surowce. Podejmują więc działania, które doprowadzą do traktatów brzeskiego i bukareszteńskiego i dadzą im panowanie nad Rumunią i Ukrainą.

Interwencja Ameryki, bitwa o Atlantyk, likwidowanie frontu wschodniego, podbój Ukrainy: historia powtarza się. . . . Przeżywamy na nowo rok 1917.

Ale po roku 1917 nastąpił rok 1918 . . . Generałowie Wilhelma II panowali nad Ukrainą. Jednakże w zimie 1917 jasne stało się, że ani wojna podmorska nie zdoła zapewnić zwycięstwa, ani opanowanie bogactw Europy wschodniej nie pozwoli zwyciężyć w wojnie na przetrzymanie. Że jedyna nadzieja zwycięstwa, do zadanie aliantom śmiertelnego ciosu, zanim udział Ameryki, którego nie unicestwi kampania podmorska, stanie się czynnikiem decydującym. Stąd decyzja Ludendorffa postawienia wszystkiego na jedną kartę i przerzucenia wszystkich sił, zwolnionych przez likwidację frontu wschodniego, celem przełamania frontu zachodniego.

Wiemy, jak się to skończyło. Straszliwa ofensywa z 21 marca 1918, fantastycznie wielkie straty niemieckie, wreszcie fiasko, które przesądziło wynik wojny. To niepowodzenie złamało morale Niemiec.

Nie wiemy co najsilniej zaważyło na decyzji Hitlera marszu na Rosję. Czy chęć zwolnienia wszystkich sił do ostatecznego ataku na Zachodzie przez likwidację potencjalnego frontu wschodniego, czy też chęć stworzenia sobie zaplecza dla wojny "na przetrzymanie." Ale gdy ostatecznie przegra bitwę o Atlantyk, nie będzie już zapewne miał wyboru.

Tymczasem Hitler nerwowo przewraca stronice historii, przeskakuje rok 1916, wmawia sobie, że zdoła prześcignąć sukcesy niemieckie roku 1917. A jednak w którymkolwiek z rozdziałów wojen napoleońskich czy też wojny światowej szuka natchnienia, zawsze musi mu się pojawiać widmo roku 1815 i roku 1918. Jest panem Europy, to prawda. Lecz jego poprzednicy byli nimi także, a jednak nie zapobiegło to ich klęsce.

Wyroki historii są dla planów i przedsięwzięć Hitlera nieubłagane: wszystkiego już próbowano i wszystko—zawiodło.

Aleksander Boray

PO ŚMIERCI PADEREWSKIEGO

W chwili zamykania tego numeru dotarła zza Oceanu wiadomość, że Ignacy Paderewski — największy z żyjących Polaków—żyć przestał. Ubył spośród nas człowiek, którego imię znaczyło dla milionów swoich i obcych Polskę i polskość. Stanowiło Polski i polskości miarę i symbol. Było ich wcieleniem.

Gdy usiłuję w tym najpierwszym momencie, pod najświeższym wrażeniem znaleść formułę, ujmującą życie i dokonanie, dzieło i człowieka—nasuwa się myśl: był to dziedzic poetów romantycznych, może ostatni z nich, napewno z nich najszczęśliwszy. Całe istnienie Paderewskiego—artysty i patrioty, człowieka sztuki i człowieka narodu—streszcza się właściwie w tym jednym: w przełamywaniu, w zwycięskim znoszeniu przeciwieństw, w których boleśnie i daremnie targali się artyści romantyzmu polskiego.

U niego jednego intuicja artystyczna stała się narzędziem wpływania na życie praktyczne i urabiania go według nakazów woli; tak było w roku 1910, w przeddzień wojny, gdy Paderewski odsłaniał pomnik grunwaldzki w Krakowie, wskazując właściwą orientację polską, tak było w czasie wojny, gdy skupił swoją czynność na Stanach Zjednoczonych, aby się stać właściwym redaktorem 13-go punktu Wilsona, proklamującego niepodległość Polski, tak było jeszcze nieraz potem i do ostatnich godzin natężonego, patetycznego życia.

Paderewski dowiódł, że sztuka może oddziaływać najszerzej, najpowszechniej, że jest najszlachetniejszą postacią przywództwa, wodzostwa, właśnie—"wieszczostwa." Dowiódł, że nie ma przeciwieństwa między artyzmem a służbą społeczną, że artyzm i służba społeczna mogą być tym samym. Nie podobna w nim przeprowadzić rozdziału między artystą a człowiekiem, propagatorem, politykiem, mężem stanu, dyplomatą. Jest to całość związana i harmonijna. Może niepowtarzalna.

I jeszcze: Paderewskiemu jednemu udało się być artystą na wskroś, najbardziej ortodoksyjnie narodowym i mieć posłuch powszechny, gdy mówił o swoim narodzie: o jego tragedii, o jego woli życia, o jego nieprzedawnionych do życia prawach. Paderewski, jak nie wielu, był—według słówNorwida—"nadnarodowy" przez to, że był narodowy. Wyszedł z zaklętego kręgu, którego bodaj nie przekroczył żaden z naszych romantyków, nawet tak uniwersalny, jak Mickiewicz. Wyszedłszy z tego kręgu miał szczęście dokonać więcej, niż Chopin. Paderewski, to polskość podniesiona do skali europejskiej i światowej. Polskość zuniwersalizowana w swojej czystości i pełni.

Powiedzieliśmy o nim: najszczęśliwszy z romantyków. Najszczęśliwszy, bo widział pierwszą "wojnę powszechną," o którą tamci się tylko modlili, bo błogosławił "broń i znaki narodowe," bo czuł, realizował i sprawdzał moc sztuki, bo był słuchany przez miliony obcych, gdy mówił o swoich, bo stał realnie na czele swego wolnego narodu, bo widział żywymi oczami spełnienie snów, bo zniósł raz jeden granicę między marzeniem i rzeczywistością, między "sztuką czystą" a sztuką tworzenia życia na obraz najśmielszego, najtkliwszego urojenia duszy.

Ale było by fałszowaniem tego zamkniętego już życia, gdyby nie stwierdzić, że ten najszczęśliwszy z romantyków polskich, był równie tragiczny, jak oni. Paderewski nigdy nie przestał być idealistą, nigdy nie przestał czuć rozdzierającego rozdźwięku między wolą i spełnieniem. Życie triumfalne, bogate, sławne, bujne—było jednym z najbardziej gorzkich, pełnych zawodu, krzywdy i klęski. Upadek Polski i upadek Francji, dla tego największego Polaka i wielkiego Europejczyka, dla tego wspaniałego przedstawiciela chrześcijańskiej, humanistycznej kultury zachodniej—był ciosem okrutniejszym, ciężarem bardziej łamiącym, niż dla kogokolwiek z nas.

Jednak Paderewski był do końca sobą—romantycznym idealistą. Nigdy nie obniżył swego standartu etycznego. Nie znał kompromisów ze swoim widzeniem—poetyckim, artystycznym, idealistycznym—świata, życia i Polski. Nie było sposobu, aby zachwiać w nim wiarę. Nie było w nim miejsca na cynizm, tak dobrze znajomy romantycznemu poecie i statyście Lamartine'owi. Prawie symbolem była jego podróż z Europy barbarzyńców do wolnej ziemi, by być sobą, by żyć według praw wolnego człowieka, by walczyć o wolność. Napewno symbolem jest śmierć w kilka dni po mowie wygłoszonej w New Jersey do 5.000 Polaków amerykańskich. Umarł nieugięty, nierozbrojony, wierzący i walczący. Jak żołnierz.

My żołnierze, stoimy w obliczu tej śmierci, skupieni, związani nią i zobowiązani. Salutujemy w milczeniu najstarszego, najpierwszego, najofiarniejszego wśród żołnierzy Polski Walczącej. Gdy nadejdzie czas, ślubujemy przewieść ciało spalone płomieniem woli i ofiary z wolnej ziemi cudzej do wolnej ziemi swojej, przez wolne morze i pod niebem już spokojnym, jak oczy zamknięte na chwilę śmierci, otwarte na wieki wieczne pokoju i chwały.

Tymon Terlecki

O Paderewskim ukazały się w "Polsce Walczącej" następujące artykuły:
Tymon Terlecki: "Paderewski w Ameryce" i "Wielki przedstawiciel Polski" (przedruk z "Gońca Obozowego") w nr. 36 z 1940 r.
Karol Popiel: "Paderewski—duchowy wódz Polonii" w nr. 18 z 1941 r.

Przyczyny i perspektywy wojny niemiecko-rosyjskiej

W chwili, gdy piszemy te słowa, dwa dni dopiero minęły od ataku Hitlera na Rosję. Jeżeli możliwości armii hitlerowskiej są nam już dzisiaj doskonale znane, to możliwości armii rosyjskiej są wielką niewiadomą. Wszelkie więc spekulacje na temat rozwoju wypadków są w tej chwili jedynie grą przypuszczeń. Natomiast przyczyny, dla których doszło do tej wojny poddają się już dzisiaj roztrząsaniu. I rozważenie tych przyczyn pozwala nam wysnuć wnioski, nie co do rozwoju kampanii rosyjskiej, która jest jedynie fragmentem tego gigantycznego zmagania, jakie stanowi wojna obecna, ale co do jej ogólnych perpektyw, jako całości.

OSKARŻENIA HITLERA

Hitler, jak zwykle po każdej napaści, sformułował cały szereg oskarżeń, napaść tę uzasadniających. Niektóre z nich nie są bez słuszności. Tak np. nazajutrz po zajęciu Litwy przez Sowiety w artykule ogłoszonym w "Polsce Walczącej" wskazywałem na to, że było ono niewątpliwie pogwałceniem umowy niemiecko-rosyjskiej. Fakt bowiem, że Hitler nakazał ewakuację Niemców z Łotwy i z Estonii, nie nakazał zaś ewakuacji Niemców z Litwy wyraźnie wskazywał na to, że Litwa miała być domeną niemiecką, a nie sowiecką. W ogóle, aż do chwili upadku Francji, niewątpliwie Stalin zaokrąglał terytorium Sowietów i umacniał ich pozycje, nie oglądając się na Hitlera.

Od roku jednak sytuacja uległa zmianie. W spółce Stalin-Hitler, Hitler zaczął brać dla siebie lwią część. Zajęcie Bułgarii, atak na Jugosławię były wyraźnymi zagrożeniami pozycji rosyjskich. Stalin zaś nie śmiał oponować. Wręcz przeciwnie wszelkimi siłami starał się zaskarbić sobie łaski hitlerowskie, starał się stuprocentowo spełniać wszystkie życzenia Berlina. Sparaliżował Turcję, pozostawiając ją w niepewności, czy w razie wejścia Turków do wojny nie powtórzy manewru polskiego, to jest nie dopomoże zbrojnie Hitlerowi. Gdy ostrzeżenie udzielone Niemcom w formie paktu z Jugosławią nie odniosło skutku i Hitler mimo tego Jugosławię zajął, Stalin pośpieszył skwapliwie uznać fakt dokonany. I posłowie grecki, jugosłowiański, belgijski zostali zmuszeni do opuszczenia Rosji.

NAFTA ROSYJSKA

A jednak Hitler na Rosję napadł. Cóż to oznacza? Oznacza to, że Hitler od Rosji żąda tego, czego najbardziej uległy rząd rosyjski nie mógł by mu dać. Tym czymś są oczywiście surowce—zboże, nafta, metale.

Weźmy jeden przykład—naftę. Produkcja nafty rosyjskiej jest olbrzymia—z górą trzydzieści milionów ton. Ale nadwyżka eksportowa jest minimalna. Obraca się w granicach zaledwie miliona ton. Reszta nafty musi iść i na zmotoryzowaną armię rosyjską i przede wszystkim na zmotoryzowane rolnictwo. Eksportować tę naftę znaczy skazać Rosję na głód. A więc trzeba ją wziąć siłą. To samo tyczy się i innych surowców.

Zastanówmy się na chwilę. To, że Hitler ryzykuje wojnę, która napewno: 1) będzie kosztowna w ludziach i materiale, 2) opóźnia atak na Wielką Brytanię i pozwala jej zyskać miesiące niezbędne na to, by pomoc amerykańska rozwinęła się w całej pełni dowodzi zatym jednego. Dowodzi tego, że cała Europa kontynentalna, opanowana przez Hitlera nie wystarcza, ażeby jego maszynę wojenną utrzymać na równi z maszyną wojenną, którą Wielka Brytania będzie miała przy pomocy amerykańskiej. Jest przyznaniem, że dopiero olbrzymi potencjał rosyjski w oczach Hitlera jest w stanie zrównoważyć możliwości brytyjskie. Czyż nie jest to pocieszające?

ZMIANA TAKTYKI NIEMIECKIEJ

I dalej. Wszakże nafta znajduje się nie tylko w Groznym i w Baku. Znajduje się w Iraku i w Iranie. Wszakżeż Hitler pierwotnie tę właśnie naftę chciał opanować, jak tego dowodziło powstanie Ali el Raszyda, próba opanowania Syrii. Jeżeli więc Hitler zwekslował kierunek ataku na Rosję, to czyż nie możemy z tego wnioskować, że jego zdaniem łatwiej jest podbić całą Europejską Rosję, niż pokusić się o odebranie Brytyjczykom Iraku i przebicie sobie przez Małą Azję drogi do Zatoki Perskiej. Znowu pocieszające stwierdzenie.

HITLER ODRACZA ROZPRAWĘ Z ANGLIĄ

Faktem jest, że cały rozwój wypadków wskazuje na to, że ta obawa przed Anglią, która przebija z każdej niemal strony "Mein Kampf," nadal panuje, jeżeli nie w świadomości, to w podświadomości Hitlera. Że ciągle pragnie on ostateczną rozprawę z Wielką Brytanią, rozprawę oko w oko, odroczyć, jeżeli nie oszczędzić jej sobie zupełnie.

Próbował pokoju z Anglią po zajęciu Polski, próbował po rozgromieniu Francji. Próba inwazji została przerwana po pierwszych niepowodzeniach i Hitler poszedł szukać sukcesów na Bałkanach. Dziś znowu odracza rozprawę z Anglią, by po pobiciu Rosji jeszcze raz szukać pokoju.

HESS WYSŁANNIKIEM HITLERA

A może i przed pobiciem jej. Zaczynam rewidować mój pogląd na sprawę Hessa. Zaczynam wierzyć w to, co Bevin twierdził od pierwszej chwili, a co ostatnio Sir Patrick Dollan, Lord Provost miasta Glasgow, powtórzył, dwukrotnie. W to mianowicie, że Hess był wysłannikiem Hitlera, przynoszącym propozycje zawarcia pokoju w imię obrony Europy przed bolszewizmem. I że jedynie przypadek, iż Hess zwichnął nogę i że wpadł w ręce policji brytyjskiej uniemożliwił mu spotkanie z dawnymi brytyjskimi przyjaciółmi.

Ta spekulacja już zawiodła. Churchill i Eden dali Hitlerowi należytą odprawę. Jasno i od pierwszej chwili powiedzieli, że celem wojny jest, jak było zniszczenie Hitlera. Premier Polski i Wódz Naczelny od razu to samo niedwuznacznie powiedział w przemówieniu do kraju.

Oświadczenie Sumner Wellesa rozwiało też nadzieje hitlerowskie, że jeżeli nie w Anglii, to w Ameryce manewr jego się powiedzie, że pomoc amerykańską uda się straszakiem bolszewickim bodaj osłabić, jeżeli nie przerwać.

WYŚCIG Z CZASEM

Wojna rosyjsko-niemiecka jest olbrzymią szansą. Może ona znacznie przyśpieszyć nasze zwycięstwo. Pod jednym jednak warunkiem. Pod warunkiem, że opór rosyjski się przeciągnie. Obecnie bowiem idzie o wyścig z czasem. Idzie o to, czy Hitler prędzej opanuje bogactwa Rosji i potrafi je zmobilizować do ostatecznej rozgrywki z Anglią, względnie do pochodu na Indie, czy też prędzej siła militarna Wielkiej Brytanii będzie dostateczna, by rozpocząć ofensywę na kontynencie.

Siły bowiem Hitlera, jako pana kontynentu Europy, Rosji i części Azji /droga do Iranu prowadzi równie dobrze przez Kaukaz, jak przez Irak/ byłyby tego rodzaju, że należało by mobilizację Stanów przeprowadzić w znacznie większym stopniu, niż to dziś jest przewidziane, by im sprostać.

W każdym razie fakt, że pociągnięcie Hitlera było pociągnięciem przymusowym, że poszedł śladami Napoleona nie dlatego, że chciał, ale dlatego że—podobnie jak Napoleon—musiał, jest niezłomnym dowodem, że sam Hitler zdał sobie sprawę, że obecnie zwycięstwo nad Wielką Brytanią stało się niemożliwością.

Czesław Poznański

BELLONA.

Wyszedł z druku 6-ty /czerwcowy/ numer miesięcznika wojskowego "Bellona," wydawanego przez Sztab Naczelnego Wodza. Na treść numeru złożyły się następujące artykuły: płk. dypl. Łunkiewicz-Artyleria w dobie obecnej; B.M.-O nowoczesnej wojnie; por. Pawłowicz—O.R.P. "Orzeł"—jego epopea; ppłk. inż. Łukaszewski—Znaczenie techniki dla wojny nowoczesnej; kpt. inż. Dębski—Możliwości techniczne i taktyczne nowoczesnych czołgów; W. W.—Koncentracja wysiłku w organizacji armii; przegląd prasy.

Syria w ogniu



Nie ma prawie miejscowości w Syrii, której nazwa nie budziła by tysięcznych skojarzeń, która by nie była związana i z Biblią i z najdawniejszą historią ludzkości. Z Tyru pochodziła okrutna królowa judejska Jezabel, matka Atalii, której Racine poświęcił jedną z swych najpiękniejszych tragedii. W Aleppo rozpoczęło się powstanie Judasza Machabeusza, w Bejrucie Herod Wielki skazał na śmierć swych synów. Z Damaszku przybył trędowaty Naaman, by szukać uzdrowienia u proroka Eliasza. A na drodze do tegoż Damaszku wróg chrystianizmu Szaweł stał się apostołem Pawłem.

Tyr i Sydon, metropolie fenickie zdobyte były na blisko dwa tysiące lat przed naszą erą przez armie assyryjskie. Tysiąc lat później ten sam Tyr przez siedem miesięcy opierał się Aleksandrowi Macedońskiemu. Pod Aleksandrettą zaś Aleksander odniósł, decydujące zwycięstwo nad armiami perskimi.

Aleppo było centrum napół legendarnego państwa Hettytów. Widziało w swych murach w roku 1490 przed Chrystusem armie faraona egipskiego Tutmosisa III, a w roku 1288 armie faraona Ramzesa II, tego samego faraona, który musiał dopuścić do wyjścia z Egiptu Żydów, prowadzonych przez Mojżesza.

Przez Syrię szły armie Krzyżowców i po dziś dzień ruiny ich zamków panują nad pejzażem. To w Syrii imperium Krzyżowców zostało złamane przez sułtana Saladyna. Przez Syrię szły później armie kulawego tatarskiego zdobywcy, Tamerlana.

Wreszcie stał się ten kraj częścią Imperium Ottomańskiego. Przez cały czas panowania sułtanów Francuzi mieli w Syrii zupełnie specjalną sytuację. Francja była protektorką chrześcijan syryjskich, miała w Syrii klasztory, szkoły, w których wykształciła się niemal cała inteligencja syryjska.

To też od chwili wejścia Turcji do pierwszej wojny światowej Francja zgłosiła pretensje do tych ziem. Pierwszy układ francusko-angielski, układ Sykes-Picot wprost uznawał prawo francuskie do zaboru Syrii. W Wersalu jednak po ustaleniu zasady mandatowej przyznano Francji jedynie mandat nad Syrią, podobnie jak Anglii przyznano mandat nad Irakiem. To znaczy, że panowanie francuskie miało jedynie charakter przejściowy, że jego zadaniem było jedynie przygotowanie Syryjczyków do zupełnej niepodległości.

Sytuacja Francji, jako mandatariusza była niezwykle trudna. Z jednej strony inteligencja syryjska reprezentowała najbardziej może postępowy typ Arabów, którzy z trudem znosili obce panowanie. Z drugiej strony istniały poważne konflikty wewnętrzne.

Syria nie jest jednolita. Syria właściwa z Damaszkiem to kraj czysto arabski, muzułmański. Liban zaś z Bejrutem jest krajem o większości chrześcijańskiej, katolickiej; Libańczycy więc nie chcieli się zgodzić, aby większość arabska dyktowała im prawa. Trzecim zaś elementem odrębnym są dzicy zupełnie Druzowie, plemię kurdyjskie, niezmiernie waleczne, które w swych górach skutecznie ignorowało władzę sułtanów i nie miało zamiaru dopuścić do tego by czy Francuzi, czy też Arabowie z dolin nim rządzili.

To też pierwsze lata mandatu francuskiego były latami krwawych walk. Doszło do tego, że jenerał Sarrail przez 48 godzin musiał bombardować Damaszek. Dopiero w roku 1926 nastąpiła pewna normalizacja stosunków. W lutym tego roku Wysoki Komisarz Francji, Henry de Jouvenel, wyraźnie oświadczył wobec Rady Reprezentacyjnej Syrii, że "jedynym życzeniem Francji jest ustalenie pokoju, opartego na traktacie; pragnie ona być technicznym doradcą, który będzie kierował Stanami Zjednoczonymi Syrii i Libanu na drodze postępu współczesnego i gwarantką ich granic i ich niepodległości przeciw wszelkim zakusom z zewnątrz."

Od tego czasu zaczęły się rokowania z Syryjczykami o ustanie mandatu i zawarcie traktatu z Francją. Szły one jednak bardzo opornie. Rządy francuskie co prawda stale oświadczały, że dążą do jak najszybszego zniesienia mandatu, ale zawsze znajdowały się przeszkody w dojściu do porozumienia. Gdy—już po zniesieniu mandatu brytyjskiego w Iraku—negocjacje te jeszcze raz zostały zerwane w roku 1936, w Syrii wybuchło powstanie. Stłumiono je, ale sytuacja była tak poważna, że ówczesny minister spraw zagranicznych Francji, sławetny Flandin, zażądał 1 marca t. r. przyjazdu delegacji syryjskiej do Paryża celem ostatecznego ustalenia warunków zniesienia mandatu.

Flandinowi nie było jednak dane zrealizować ten zamiar. W maju bowiem nastąpiły we Francji wybory, które dały w parlamencie większość frontowi ludowemu. I to rząd Bluma, w osobie wiceministra spraw zagranicznych Viénota—dzisiaj więźnia Vichy—podpisał traktat z Syrią. Mocą tego traktatu powstawało nie jedno, ale dwa państwa niepodległe: Syria i Liban. Państwa te miały być z Francją związane jedynie traktatem przymierza, poza tym zaś miały być zupełnie "wolne, suwerenne i niepodległe."

Traktat podlegał ratyfikacji parlamentów francuskiego i syryjskiego i miał wejść w życie najpóźniej 31 grudnia 1939 roku. Parlament syryjski ratyfikował go natychmiast. We Francji jednak po upadku Bluma, ponownie doszły do głosu elementy, które wolały utrzymać system mandatowy, jako dogodniejszy dla penetracji kapitału francuskiego. Zaczęły się zahaczenia. W grudniu 1937 roku premier syryjski Djemil Bey Mardam (przywódca nacjonalistów syryjskich, najmocniejszej partii) musiał się zgodzić na zmianę traktatu "w interesie zabezpieczenia praw mniejszości." Koniec końców 14 listopada 1938 roku p. Jerzy Bonnet i Djemil Bey Mardam podpisali protokół ostatecznie regulujący wszystkie sprawy sporne i stwierdzający, że jest pożądane, ażeby parlament francuski ratyfikował traktat przed 31 stycznia 1939.

To nie przeszkodziło Bonnetowi miesiąc później, 14 grudnia, oświadczyć, że nie zamierza wnieść na porządek dzienny Izby Deputowanych ratyfikacji traktatu. Tego samego zaś dnia przyjaciel Bonneta, Henryk Haye, dziś ambasador Vichy w Waszyngtonie, wniósł do Senatu projekt zerwania układu z Syrią i Libanem. Oczywiście w interesie utrzymania całości Imperium Francuskiego, tego samego Imperium, które dziś pp. Bonnet i Haye i ich przyjaciele parcelują między Mussoliniego i Hitlera.

Nie można się dziwić, że w Syrii wybuchło oburzenie. Parlament syryjski uchwalił 31 grudnia następującą rezolucję: "Izba syryjska, szczerze przywiązana do sojuszu z Francją pozostaje wierna tekstowi traktatu, który ratyfikowała 22 grudnia 1936. Jest zdania, że prawa Syrii przewidziane w tym akcie nie mogą być kwestionowane i że jeżeli parlament francuski ma prawo odrzucić sojusz z Syrią, to nie ma prawa odmówić uznania jej naturalnego prawa do niepodległości, prawa uświęconego przez Pakt Ligi Narodów."

W wigilię wojny światowej ci sami politycy, którzy później Francję oddali w ręce Hitlera dawali mu do ręki broń przeciw sobie, popychając niepodległościowców syryjskich na tory walki z Francją. Oczywiście piąta kolumna syryjska z tego cynicznego złamania traktatu starała się ubić jak największy kapitał.

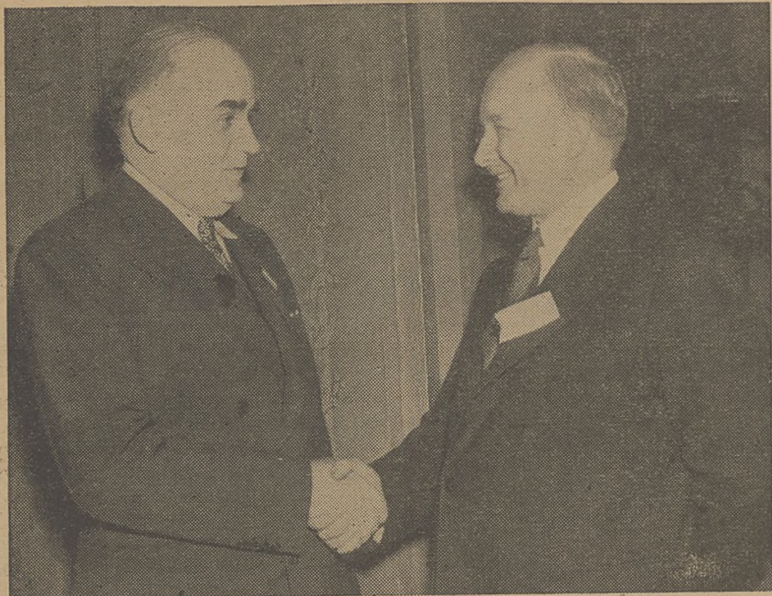
Dzisiaj piątokolumniści syryjscy mają broń wytrąconą z ręki. Wolna Francja jenerała de Gaulle honoruje weksel wystawiony przez rząd Bluma, weksel, który stwierdzał jedynie wykonanie zobowiązania, wziętego przez Francję w chwili, gdy otrzymała mandat na Syrię. Z chwilą wejścia wojsk angielskich i francuskich do Damaszku została uroczyście proklamowana niepodległość Syrii i Libanu.

Po wojnie Syria i Liban będą zapewne sprzymierzeńcami Francji i Anglii, ale będą nimi jako państwa wolne i niepodległe.

Michał Prozor

"Tu my som"

Rozmowa z wiceprezesem Stanisławem Mikołajczykiem



Wiceprezes Rady Narodowej S. Mikołajczyk i prezes Rady Polonii Amerykańskiej F. Świetlik

Zbliżyć się do milionowych mas Polonii Amerykańskiej, zetknąć się z możliwie największą ilością Polaków, poruszyć ich uczucia, przyśpieszyć ich wkład w wysiłek produkcji zbrojeniowej Stanów Zjednoczonych, zwiększyć ich czynny udział w życiu politycznym tej wielkiej demokracji—oto cele jakie narzucały się podróży wiceprezesa Rady Narodowej Stanisława Mikołajczyka po opuszczeniu Ameryki przez Naczelnego Wodza Gen. Sikorskiego. Z łatwością uzyskuję wywiad dla pisma żołnierskiego i z rzeczowych, suchych nazw miejscowości i cyfr ludności niesklonnego do oratorskich popisów przywódcy chłopów polskich zaczyna się wyłaniać obraz wielkiej tury objazdowej po ośrodkach Polonii Amerykańskiej i Kanadyjskiej.

—Po pierwszym objeździe wspólnie z Gen. Sikorskim—rozpoczyna Prezes Mikołajczyk — rozpocząłem drugą turę. Zaczęła się ona wielką manifestacją 3-majową w Chicago. 200.000 ludzi brało udział w tej potężnej demonstracji pod pomnikiem Kościuszki w parku Humboldta. Trzy godziny trwała defilada umundurowanych organizacji polskich z lasem sześciuset sztandarów na czele. Stając przed zebraną Polonią Chicagowską miałem chyba prawo nazwać ten obchód "największą polską uroczystością jaką się dziś obchodzi na świecie." Potem udałem się do St. Pauls i Minneapolis, dwuch najbardziej na zachód wysuniętych miast polskich (z jednego z nich pochodzi Lindberg), gdzie przez wiece i konferencje z przedstawicielami samorządu, duchowieństwa i organizacyj zawodowych starałem się przeciwdziałać usiłowaniom piątej kolumny. Byłem w Milwaukee, gdzie wielki ośrodek kolonii niemieckiej znajduje na szczęście zdrową przeciwwagę w żywej, patriotycznej Polonii.

Wróciłem potem do Chicago, przyglądnąłem się doskonale zorganizowanemu polskiemu szkolnictwu niższemu i średniemu, zetknąłem się z organizacjami młodzieży, tej najbardziej aktywnej części społeczeństwa polskiego w Ameryce, najbardziej rwącej się do czynu, po której możemy oczekiwać poważnego udziału w naszym wysiłku zbrojnym. Związek Klubów Małopolskich, Związek Podhalan, Klub Wielkopolan, Ślązaków, Królewiaków—gościł mnie serdecznie. Ci ludzie, skupieni w organizacjach regionalnych, myślą wybiegają daleko, marzą o tym, by po wojnie stać się organizatorami wysiłku gospodarczego, zmierzającego do odbudowy miast i wsi w Polsce, z których pochodzą.

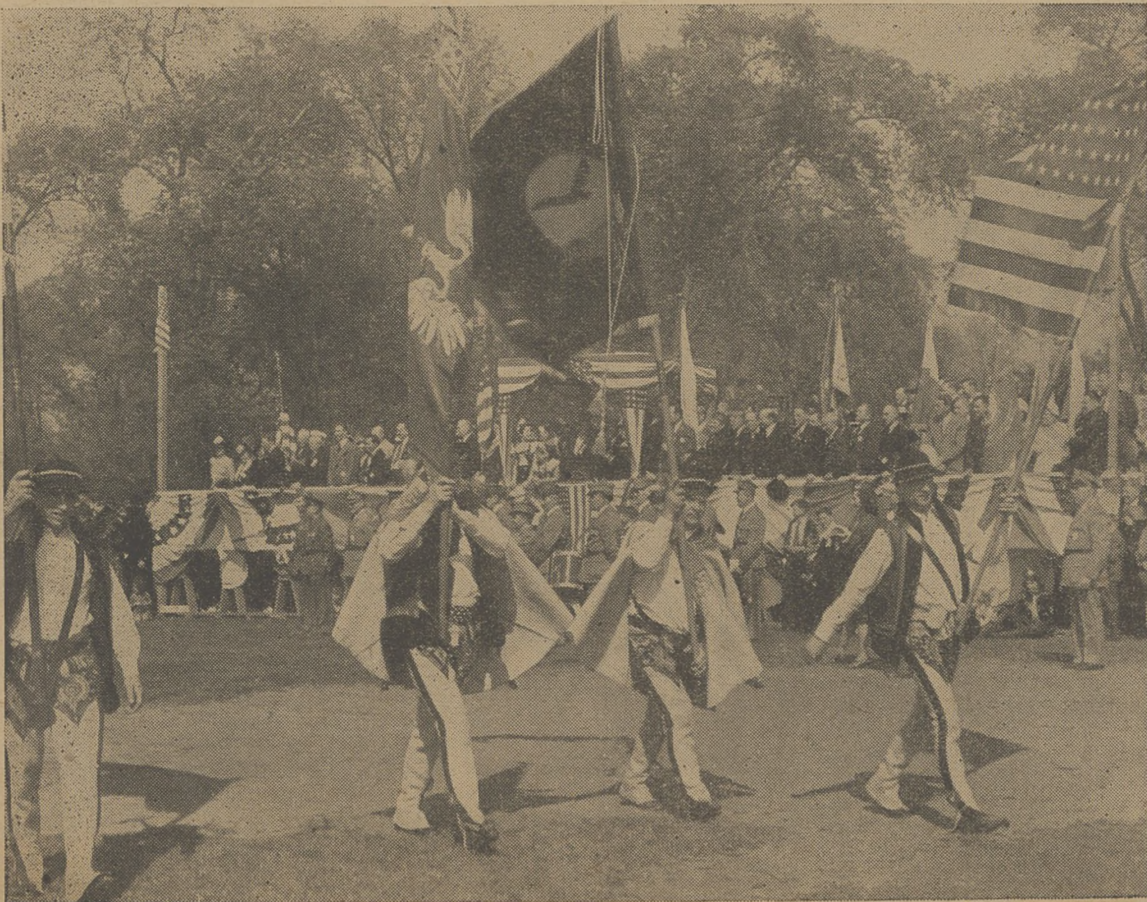
Teraz z kolei zetknąłem się ze światem robotniczym, odgrywającym obecnie największą rolę w produkcji amerykańskiej: w Cleeveland na kilkudziesięciotysięcznym wiecu solidarność z Polską manifestowali Czesi i Serbowie. Potem szły kolejno: Toledo, centrum stalowni Pittsburgh, ośrodek zagłębia węglowego Wilkes Barre, New Haven, Newark, Brooklyn, Providence, N. York, Philadelphia.

Na dwuch zebraniach Związku Syndykatów Dziennikarzy zetknałem się z prasą, dziś niezwykle solidarnie manifestującą konieczność jak największego wysiłku i pomocy dla Polski. Byłem na zjeździe rady Polonii Amerykańskiej, o którym ze względu na ważność tej instytucji chciałbym mówić osobno. Szczególną wagę przykładam jednak do zetknięcia się z nowopowstałymi kołami Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Organizacja ta ze swym Centrum Naczelnym, złożonym z byłych wojskowych armii polskiej i amerykańskiej oraz Sokolstwa rozwija enérgiczną akcję opiekuńczą nad kadrami żołnierza polskiego w Kanadzie. Zamierzone jest powołanie 12 ośrodków, które powstaną w Bostonie, New Britain, New York, Newark, Wilkes Barre, Philadelphia, Buffalo, Cleveland, Pittsburgh, Detroit, Chicago i Milwaukee (Wis.). Naczelne Centrum Przyjaciół Żołnierza Polskiego będzie emanacją Rady Polonii Amerykańskiej dla spraw wojskowych. Są wszelkie dane po temu, by przypuszczać, że organizacji tej przypadnie szczególnie doniosła rola w organizacji wojska polskiego na tamtej półkuli.

Mówiąc o swej długiej turze kanadyjskiej Prezes Mikołajczyk szybko wymienia cały szereg miejscowości: Winnipeg, Port Arthur, Fort William, centrum miedzi i niklu w Sudbury, Hamilton, Toronto, Ottawa, Montreal, by najdłużej zatrzymać się na swych wrażeniach z obozu stacji zbornej w Windsor.

—Wszędzie mówiłem o Polsce Walczącej, jak żyje, co myśli, jak walczy naród polski w kraju i żołnierz na emigracji. Podkreślałem, jak wielkie nadzieje wiąże polski lotnik i marynarz z Polonią Amerykańską i akcentowałem jak najmocniej konieczność spełnienia tych nadziei w tej strasznej walce, która jest wojną nie tylko o Polskę, o Europę, ale co raz więcej i silniej o prawo swobodnej egzystencji wolnej Ameryki. Wszędzie znalazłem duże zrozumienie, wiele zapału i gorące serca.

Kilkoma nie wiele mówiącymi zdaniami zbywa Prezes Mikołajczyk moje pytanie o sposobie reakcji Polonii wobec jego osoby. Ale duży plik wycinków z prasy polskiej i amerykańskiej daje jasną i niedwuznaczną odpowiedź. Jego pochodzenie z klasy chłopskiej, rzeczowość i prostota w ujmowaniu zagadnień stworzyły łatwą wspólną płaszczyznę porozumienia. I gdy czytam te szczere wynurzenia prasy polskiej w Ameryce, mimo woli przypominają mi się sale krakowskiej "Wisły", czy zebrań chłopskich w Małopolsce, gdzie Mikołajczyk tak samo szybko zawsze potrafił nawiązać kontakt z najbardziej wyrobioną politycznie dzielnicą ruchu ludowego. I gdy Związek Klubów Małopolskich w Ameryce, którego członkowie wywodzą się w przeważnej części z warstwy chłopskiej witał go gorąco, to widać, że był to zew krwi, poczucie wspólnoty z tymi spod Tarnowa, Rzeszowa czy Bochni. Jedno z pism polskich, jakże trafnie scharakteryzowało jego sylwetkę. "Wiadomości Codzienne" w Cleeveland piszą o nim, że jest on "a) twardy (Mikołajczyka trzeba tam, gdzie nie wolno ustąpić), b) pozytywny (nie uznaje polityki frazesu, łączy politykę z pracą społeczną), c) młody (ma żywą wiarę)".



Fragment z manifestacji w Chicago



Koszary w Owen Sound

TU MY SOM

HERE WE ARE

POLSKIE JEDNOSTKI ZBROJNE W KANADZIE
Stacja Zborna w Windsor, Ontario

N. 1.
25 maja 1941

Ale Mikołajczyk nie zamknął się w granicach swej klasy. Wszędzie czuł się reprezentantem całego narodu, nie warstwy czy partii, do której należy. Akcentował tak samo twardą postawę polskiej inteligencji w kraju, jej bezlitosne zniszczenie przez okupanta, jak silny opór klasy robotniczej. Cała prasa amerykańska, pełna jest wiadomości o ruchu podziemnym w Polsce, o rozroście prasy tajnej. Odsłonięciem tej karty polskiego wkładu w wysiłek wojenny Mikołajczyk oddał znaczne usługi i dobrze wyręczył polską propagandę.

—Panie Prezesie—pytam—czytelnik-żołnierz w Szkocji czy w Egipcie, zmylony niekiedy nieopatrznie formułowanymi i ryczałtowo potępiającymi osądami Polonii spragniony jest sądu nieuprzedzonego o tym największym naszym żywym zapleczu w tej chwili. Z odpowiedzi Mikołajczyka widzę, że sympatia jest obustronna. Polonia podoba się Prezesowi i na wzajem.

—Są oni—mówi on—prości, szczerzy, uczciwi, szalenie bezpośredni, pozbawieni cienia snobizmu, bez krztyny zarozumiałości. Gorące ich serca biją żywo na myśl o wszystkim, co polskie. W ich umysłowości kojarzy się doskonale lojalność obywatelska wobec nowego kraju z szacunkiem dla kraju ojców. Wyrośli w stosunkach amerykańskich są zżyci jak najbardziej głęboko z instytucjami demokratycznymi. One weszły im w krew i kości, stanowią zasadniczą część ich poglądu na świat, ich sposobu myślenia i odczuwania. Przyszła Polska rysuje im się jako kraj istotnej politycznej i społecznej demokracji. Jest to stanowisko dla nich jedynie zrozumiałe i jasne, stanowisko bezsporne, poza wszelką dyskusją. Wszelkie odchylenia od tej linii, jakiekolwiek sympatie ideowe dla ustrojów totalitarnych są dla nich czymś odrażającym i odpychającym. Te szczerze demokratyczne przekonania znamienne są dla całego wychodźstwa: nie tylko dla jego warstwy robotniczej i farmerów, ale także dla inteligencji i kleru. Kler akcentując narodowy charakter przyszłej Polski zawsze tak samo silnie uwypukla jej demokratyczne oblicze. Specjalne nadzieje wiąże z młodzieżą polską. Przecież to ona poszła jak najbardziej ochotnie na zew ochotniczej rekrutacji do armii amerykańskiej, stanowiąc 17% ogółu zgłoszonych. Oficerowie amerykańscy mówią z wielkim uznaniem o elemencie polskim.

I tu Prezes Mikołajczyk zaczyna się zapalać.

—Wie Pan — mówi — moje najsilniejsze wrażenia to końcowe chwile pobytu w obozie Windsor. "Tu my som" to tytuł ich pisma. (I Prezes zaczyna czytać z tego wesołego, prostego, ale jakże zarazem wzruszającego powielanego pisemka): "I wołamy "My tu som" jak ojce nasi w Starym Kraju. "Here we are," jak meldował generał Pershing po przybyciu armii Stanów Zjednoczonych do Europy w tamtej wojnie." Nie zapomnę apelu pierwszej kompanii wojska polskiego w Kanadzie na stacji zbornej Windsor. Znaleźli się tam zarówno ochotnicy z ziemi amerykańskiej, jak i ci co przez Litwę, Rosję, Sybir, Japonię, poprzez długie szlaki tułaczki tam dotarli. Nie lubię się łatwo wzruszać, ale jakąż wymowę wzruszającą, jaką siłę miał apel, na którym wywoływano nazwy Warszawy, Lwowa, Wilna i Poznania z jednej, Chicago, Buffalo, Detroit i Nowego Yorku z drugiej strony—żołnierze pochodzący z tych miast występowali z szeregów, stwierdzając głośno: "Jest." Jeszcze mam w uszach ich pytanie: "A kiedy my będziemy mogli pójść." To pytanie, które dobrze wyraża ich rwanie się, a nasze największe nadzieje w tej wojnie.

Edward Żywoń

JEDNOSTKI POLSKIE W KAMPANII FRANCUSKIEJ

Z walk I-ej Dywizji

Pod Lagarde

Dzień 18. VI. 1940 był dla oddziałów 2 pułku Grenadierów Wielkopolskich jednym z najkrwawszych. Po walkach w dniu 15, 16 i 17 czerwca oraz nocnych przemarszach żołnierz był u kresu wytrzymałości. W dniu 17. VI. zostały już zaangażowane odwody pułkowe i nawet odwód dywizji oraz artyleria korpusu interweniowały na odcinku pułku. W dniu 18 mimo wyczerpania i dużych strat, bez posiłków pułk utrzymał do godzin wieczornych swój odcinek obronny. Stany kompanii w dniu tym zmalały do 40-50 żołnierzy, broń maszynowa w 50% zdatna do użytku. To też żołnierzom walczącym w dniu 18 pod Lagarde należy się szczególne uznanie, a krótki mój opis tej części walki niechaj będzie dla nich zapewnieniem, że Ojczyzna o nich i o ich czynach pamięta.

Na wschód od drogi Lagarde-Vaucourt na skraju lasku frontem na północ jest punkt obserwacyjny I baonu 2 pułku grenadierów wlkp. Widzimy z niego cały przebieg walki na kanale i przedpolu, meldunki obu stron napływają często przez gońców a często przez oficerów łącznikowych. Łączność telefoniczna zrywana jest ogniem artylerii tak często, że nie starczy patroli i kabla na naprawę. Systematycznie "napaża" nas artyleria wroga ciężkimi pociskami, potem moździerzami, wreszcie poczyna się mieszanina świstów w powietrzu po drzewach i gałęziach; to zestrzelowane ognie nieprzyjacielskich km. Widać piechotę wynurzającą się z za zasłon terenowych.

Trzeba ich pobić, Czym? Dwóch obserwatorów artylerii, początkowo kierując strzelaniem przy pomocy telefonu, później przez rozstawionych gońców. Na lewo pluton ckm. por. W. (ogień na krzaki) przed lasem ckm. kpr. Szy. i rkm. por. S. (ognie na te czarne kępki).

Po chwili względny spokój—pauza oddechowa. Słychać nowe serie baterii niemieckich. Biją teraz szczególnie na pluton ckm. por. W. i doskonale umieszczony ckm. kpr. Szy.

Znowu ogień zgrupowanych ckm. i podkradająca się ku nam piechota jak robactwo. I znów reakcja nasza jest bardzo skuteczna.

Przybył na punkt dowódca pułku (godz. 9.00). Jeden z oficerów wyjaśnia położenie, a zapytany przez dowódcę pułku: "jak długo tu wytrzymamy?" odpowiada: do godz. 13.00.

Systematycznie wzrastające zmagania ogniowe i ruchowe trwały dalej. Każda seria ognia przynosi nam nowe straty. Poległ por. W. dowódca km. kilkanaście kroków na lewo od nas—w obsługach kilku rannych i 1 km. uszkodzony. Nadchodzą meldunki z lewego skrzydła o stratach w ludziach i braku załóg do obsadzenia stanowisk. Najlepiej trzyma się km. kpr. Szy.—widzimy go przed sobą na stanowisku otwartym na odległości głosowej przed lasem. Praca tego bohaterskiego km. jest wprost imponująca—spokój — wytrwanie — uzupełnianie amunicji i ogień w odpowiedniej chwili. Toteż artylerzyści niemieccy wściekają się po prostu ze złości nie mogąc ani artylerią lekką czy ciężką—ani granatami czy szrapnelami czy granatami na rozprysk czy zadymieniem ani moździerzami a już w żaden sposób ogniem ckm. unieszkodliwić km. kpr. Szy.— Stanowisko jego jest skryte za lekką fałdą terenową.

Co chwila słychać wołanie: "brak amunicji" lub zdyszany donosiciel amunicji po nią przybiega. Jest to kłopot nie mały, na uzupełnienia z kolumny amunicyjnej liczyć nie można—trzeba oszczędzać. Jest jeszcze inny kłopot z amunicją małokalibrową francuską. Mianowicie każda broń ma inną amunicję. Zapomnieliśmy o posiłku, o wodzie, o śnie—a tylko myśl przeklęta nas prześladuje: amunicja, — amunicja—amunicja.

Przybył por. Z. z gońcem około godz. 14.00 i zameldował o sytuacji na lewym skrzydle: na odcinku jego drobne grupki nieprzyjaciela z bronią maszynową weszły do lasu. Otrzymał rozkazy i odszedł. Znaleźliśmy go później podczas przeciwuderzenia o 150 kroków od nas zabitego. W istocie słychać było strzały w tym kierunku, lecz zaradzić temu miał wyższy dowódca, który tam miał swój punkt.

Nastąpiła dziwna cisza—artyleria npla przestała bić i własna też ucichła. Gwałtowne zeŚrodkowanie ogni km. oraz charakterystyczne szczekanie: tok, tok,—tok, tok i nieco niższym tonem: takbum — tak bum. To natarcie piechoty z czołgami.

Wnęką terenową 100 m. na lewo od nas podeszły 3 czołgi (lekkie) rozpoznawcze — penetrując przesiekę leśną. Nasz km., który bronił tej przesieki wycofał się do nas. Nieprzyjaciel zaszedł nam z lewej strony—grupujemy się obronnie.

Krótko po tym km. kpr. Szy. dostał ognia z armatki zupełnie z boku ze stanowisk własnego prawego sąsiada. Równocześnie na przedpolu w odległości około 500 m. widać grupki piechoty w chyżym biegu przesuwające się wzdłuż doliny na nasze prawe skrzydło.

Otwieramy ogień z kb. bezskutecznie, bowiem nieprzyjaciel posuwał się polem martwym. Gdy natomiast strzelało dwóch dobrych strzelców z przed skraju lasu stojąc i klęcząc (inni ładowali i podawali karabiny jednostrzałowe) strzelanie okazało się skuteczne, unieszkodliwiło kilku Niemców. Większość jednak przeniknęła do lasu bocznego. Z lasu tego zupełnie z tyłu otrzymuje km. kpr. Szy. ognie z kilku km., ma kilku rannych (w tym celowniczy) i zmuszony jest do wycofania się do nas.

W wyniku tych wydarzeń utworzył się z naszego punktu obserwacyjnego punkt oporu z 2 ckm., kilku oficerami, gońcami, telefonistami i artylerzystami—razem około 15 ludzi.

Gotujemy się do walki wręcz. Czujemy, że jesteśmy otoczeni, gdyż słychać walkę za nami.

Obserwujemy pilnie i nadsłuchujemy. Słychać głosy i kwilenia sów i dzikich gołębi—to są hasła naszego wroga. Naśladujemy Niemców kwicząc na ich sposób. Wprowadza nas to w wesoły nastrój. Po krótkich rozkazach kpt. M; ruszamy do przeciwuderzenia w dwóch grupach.

Przeszukujemy teren w jednym kierunku. Są.—Pada kilka strzałów z karabinów—potem granaty ręczne i okrzyki "hurra,"—Wreszcie za uciekającymi ogień z pistoletów ręcznych. Jeden kierunek jest oczyszczony.

W ten sam sposób uderzamy w drugim kierunku. Polujemy poprostu na ukrytych za drzewami i krzakami Niemców. Jeden z grenadierów z pistoletem w ręku w pogoni za uciekającymi z okrzykiem: "Halt; Hände hoch" tak wyprzedził innych, że wpadł na zasadzkę z czołgiem i km. na przesiece leśnej. Skonsternowane tym obsługi niemieckie nie zdążyły otworzyć ognia. Grenadier zaś zorientowawszy się odskoczył szybko do nas; podchodzenie musiało być teraz ostrożniejsze.

Niemcy po kilku seriach oddanych na ślepo odjechali w głąb naszej obrony, wymijając nas. Las i najbliższy teren został oczyszczony.

Przybył goniec z lewego skrzydła, uradowany, że las i droga są wolne.

Niemcy pozostawili 3 zabitych —rannych zabrali na wozy panc.

Straty z naszej strony 3 lekko rannych. Najważniejszą zdobyczą dla nas były: 1 pistolet maszynowy 2 pistolety automatyczne i granaty ręczne.

Co dalej robić?—Czy doczekamy się przeciwuderzenia ze strony pułku lub sąsiadów?

Wysłane patrole na lewo i do punktu dowódcy pułku stwierdzają npla z dużą ilością broni maszynowej. O odsieczy mowy być nie może. Słyszymy na naszych tyłach coraz bardziej oddalającą się walkę. Artyleria nieprzyjaciela strzela przy pomocy lotnika—zatym jesteśmy już około 2 km. po za niemieckimi liniami nacierającymi.

Czekamy na sprzyjające nam warunki—zbliża się noc. O zmroku—grupę naszą z 2-ma ckm. kilkoma lekko rannymi wyprowadza dowódca baonu równolegle po za frontem niemieckim, dogodnym terenem, na odcinek sąsiedniego pułku.

Z wielkim bólem rozstaliśmy się z kilku ciężko rannymi, którzy nie byli już zdolni do przebijania się. Przypominam sobie dwóch młodych chłopców pchor. D. z 1 komp. i pchor. obserwatora artylerii.

Z opisanego fragmentu wyciągnąć możemy dwie nauki. 1) doskonałe stanowisko i doskonała walka obsługi ckm. kpr. Szy. zmusiły nieprzyjaciela do obejścia z dwu stron. 2) odruchowe uderzenie dla oswobodzenia się sprawiło, że zamiast zaskoczenia nas i wpędzenia w zasadzkę, to my przeciwuderzeniem wyprzedzającym unieszkodliwiliśmy wroga.

Grenadier M. M.

W rocznicę walk I Dywizji Grenadierów

Kochani Grenadierzy, Obchodzimy dzisiaj pierwszą rocznicę naszych walk na ziemi Francuskiej.

Ileż to najpiękniejszych przeżyć z okresem tym każdy z nas wiąże? Rok temu w tym czasie 1 Dyw. gren. rzęsiście zraszała krwią pola Lotaryngii—dniami toczące zacięte boje a nocami maszerujące. Jakże straszliwy był dla nas cios, gdy komunikaty radiowe ogłosiły wiadomość o rokowaniach o rozejm.

Nie mogliśmy opuścić Francuzów mimo radiowego rozkazu Naczelnego Wodza przebijania się do Szwajcarii dopóty—dopóki oni stawiali opór—tak nakazywał nam honor żołnierski—tak nakazywała nam tradycja żołnierza polskiego. Zostaliśmy z nimi do końca i wierzcie zostaliśmy sami.

Wielu też grenadierów—bardzo wielu—bo około tysiąca pozostało tam na zawsze, znacząc szlaki walk I Dywizji.

Mogiły te ukształtują przyszłą wielkość Polski — to pomniki wiecznotrwałe i wymowne.

One o wielkości swej ofiary dla Polski—do nas swym spokojem przemawiają.

Gdy staniemy więc w tym dniu wszyscy grenadierzy I Dywizji Grenadierów i w chwili skupienia, gdy oddawać będziemy naszym kolegom poległym cześć i hołd zastanowimy się też—co te mogiły mówią?

A jest ich ilość przeogromna—gdy spojrzymy dalej poza Francję—rozsiane po wszystkich zakątkach Polski—w dalekiej Norwegii—te narastające w Anglii, znaczące szlaki polskiego lotnika—te, w morskich otchłaniach znaczą marszrutę polskiego marynarza i te, które powstają bezimiennie i nieraz bardzo daleko od granic Polski. A jeśli do nich dodamy wszystkich Polaków, którzy legli w walce o Polskę we wszystkich wojnach na różnych krańcach świata—to głosów tych będą miliony.

Mówią one zgodnie: myśmy oddawali swe życie bez wahania Polsce, bo ono do Niej należy—lecz chcemy i nakazujemy wam byście, wy, potomni nam i współcześni—nie pozwalali na uszczuplanie granic Polski i umniejszanie Jej wartości kulturalnych, ale odwrotnie macie wrócić Polsce granice historyczne, macie wrócić Jej dziejowe posłannictwo, bo Polska może się ostać tylko wielka albo Jej wcale nie będzie, jak tego plastycznie dowodzą obecne wypadki.

Musicie się skupić wszyscy pod jednym sztandarem, którym jest Polska.

Musicie wytrzebić z siebie wszelką prywatę a pozostawić w sobie czystą pracę dla Polski, choćby najtrudniejszą, nie przesłaniać takich czy innych posunięć względami dobra sprawy, podczas gdy na dnie zagadnienia spoczywa zwykły oportunizm.

Podstawą zaufania i dobrych nastrojów jest sprawiedliwość i dlatego najwyższym nakazem chwili jest bezwzględne stosowanie w praktyce tych zdrowych metod.

Wypleńcie z siebie złe przywary a staniecie się wielkim narodem do którego prowadzą Was same dzieje. Opatrzność sama czuwa nad polskim narodem, bo czyż nie jest zrządzeniem losu, że odwieczny nasz wróg Niemcy toczy obecnie śmiertelne zapasy z naszym drugim zaborcą Rosją, która ponosi dzisiaj skutki własnej perfidnej polityki.

Przyszłość więc Polski należy do was dzisiaj.

Przed Polską leżą wielkie drogi i możliwości—dajcie z siebie tylko wszystko dla Niej.

"Połóżcie dusze wasze na drogi wasze" w drodze do Polski.

Do Polski Wielkiej—Sprawiedliwej, miłującej wszystkich jednakowo—prowadzi Wasz Naczelny Wódz Generał Sikorski.

Wy grenadierzy I Dywizji Grenadierów, gdziekolwiek się znajdujecie—macie iść do takiej Polski w straży przedniej—macie być przykładem dla innych.

Bronisław Duch,
b. dca 1 dyw. gren.

Z walk II-ej Dywizji

Od Parthenay do granicy szwajcarskiej

Dywizja Strzelców Pieszych—druga z kolei dywizja Armii Polskiej we Francji—organizuje się w rej. Parthenay, department Deux-Sèvres.

Okres organizacji dywizji niezwykle ciężki i przewlekły, trwa od grudnia 1939 roku do końca maja 1940 roku. Wpływa na to przede wszystkim powolność w dostawie uzbrojenia i wyposażenia. W pięć miesięcy od chwili zapoczątkowania organizacji dywizji, t. zn. w końcu kwietnia 1940 roku, stan dywizji przedstawia się następująco: posiada ona wprawdzie pełny stan bojowy jeżeli chodzi o ludzi, ale zaledwie po kilkaset kb. na pułk piechoty, parę ckm i trochę rkm na baon oraz po parę dział bez zaprzęgów na pułki artylerii. Brak umundurowania, uzbrojenia, samochodów, koni, sprzętu optycznego i łączności, co oczywiście odbija się ujemnie na wyszkoleniu.

Dopiero uderzenie niemieckie na Holandię i Belgię przyśpiesza formowanie dywizji. Znajduje się od razu broń, sprzęt i umundurowanie, które zaczynają napływać nieprzerwaną strugą. Dywizja w szybkim tempie z dnia na dzień przeistacza się w jednostkę bojową. Do ostatecznego postawienia dywizji w stan gotowości bojowej brak jednak czasu. Postępy ofensywy niemieckiej zmuszają do rzucenia dywizji w końcu maja na front bez zwłoki, nie czekając na zakończenie jej organizacji.

Toteż pułki dywizji dosłownie w dniach podjęcia transportów pobierają jeszcze masowo brakujące uzbrojenie i wyposażenie. Strzelcy pułków piechoty dopiero w transportach kolejowych dopasowują swój rynsztunek, kanonierzy po raz pierwszy zaprzęgają konie dla przeciągnięcia dział na rampy kolejowe. Nie mniej jednak zapał bojowy i chęć orężnej rozprawy, jakie ożywiają dywizję, wyrównują w znacznej mierze braki wyszkoleniowe.

Transporty ruszają w nakazanym czasie i w dniu 1. VI. dywizja przybywa do rej. Colombey-les-Belles, gdzie wchodzi w skład odwodu III armii francuskiej.

Niedobór w wyposażeniu uzupełnia się w dalszym ciągu. Najdotkliwiej odczuwa dywizja brak oddziałów przeciwpancernych, które wprost z Granville, gdzie znajdowały się na przeszkoleniu, zostały w dniu 14 maja rzucone na front północny dla wzmocnienia zapory ppanc, na rzece Aisne i Oise, skąd zaledwie część zdołała dołączyć do dywizji. Reszta (dywizyjna komp. ppanc. i komp. ppanc. 4 pp.) zostały wciągnięte w walkę na przedpolu Paryża i walczyły przy boku oddziałów francuskich aż do zawieszenia broni. Stąd zamiast etatowych 50 działek ppanc. 25 mm—dywizja posiada ich zaledwie 27.

Kilkudniowy pobyt w odwodzie armii wykorzystywany jest intensywnie na uzupełnienie najważniejszych braków w wyszkoleniu. Czasu jest jednak mało, bo już 10 czerwca dywizja ma maszerować na linię bojową dla wzmocnienia obsady linii Maginot na odcinku sąsiadującym z polską 1 Dywizją Grenadierów.

Niestety wypadki potoczyły się inaczej. Niestety—albowiem w przeciwnym razie dywizja walczyłaby ramię w ramię z Dywizją Grenadierów i kto wię, czy dwun polskim dywizjom, wzajemnie się wspierającym i ożywionym tym samym duchem, nie udało by się nawet w znanych nam ciężkich warunkach przebić się poprzez żelazny pierścień pancerno-motorowych wojsk niemieckich na południe Francji.

W dniu 10 czerwca—na skutek zagrożenia południowego skrzydła linii Maginot i styku jej ze Szwajcarią—dywizja zostaje przerzucona do rej. Belfort dla zasilenia VIII armii i wchodzi w skład 45 korpusu.

Zgodnie z otrzymanym zadaniem, od świtu dnia 14. VI. dywizja organizuje obronę rejonu Belfort, w oparciu o forty tej sławnej twierdzy, zamykającej główny szlak, wiodący z rej. Miluzy pomiędzy Wogezami a granicą szwajcarską i stanowiącej ostatni i zasadniczy węzeł oporu na tym kierunku.

Oddziały pracują bez wytchnienia dzień i noc nad rozbudową pozycji. Ale nic to—pracują z myślą o walce, co podwaja siły. Śnią im się Lwy Belfortu—bohaterowie z wojny 1871 roku, co to wytrwali do końca i nie oddali twierdzy. Nie chcą być od nich gorsi, przyrzekają sobie, że pójdą w ich ślady.

Wypadki jednak toczą się szybko na przód i rozwiewają marzenia. Front północny pryska pod uderzeniem stalowego walca niemieckich wojsk pancernych, wspartych potężnym lotnictwem. Żelazna lawina prze nieubłaganie i szybko na południe, siejąc zniszczenie na tyłach i zagrażając jednostkom stojącym nad granicą odcięciem ich od źródeł zaopatrywania i od wnętrza kraju.

Dowódca armii usiłuje ratować sytuację. Wyrywa on kolejno z dywizji 5 pp. i dyon rozpoznawczy i rzuca je na zachód z zadaniem stworzenia zapory ppanc. na rzece Saone i osłony tyłów armii.

Zadanie jednak przerasta siły. Cóż bowiem znaczy wątła pajęczyna kilku rozrzuconych luźno na olbrzymiej przestrzeni baonów, z których każdy obsadza odcinek ponad 20 km., dysponując zaledwie dwoma 25 mm. działkami, jako jedyną bronią przeciwpancerną. Jasne jest, że nie ostoi się ona nawet przy nadludzkim męstwie żołnierza i musi prysnąć przy pierwszym poważniejszym uderzeniu.

Toteż w dniu 15 czerwca, gdy w rej. na zachód od m. Vesoul pojawiło się kilka pancerno-motorowych dywizyj niemieckich, nie było już żadnej wątpliwości, że trzeba zrezygnować z obrony Belfortu frontem na wschód, a zwrócić się całością sił przeciw nieprzyjacielowi, nadciągającemu od zachodu. Na wydanie rozkazów w tym kierunku nalega dowódca naszej dywizji, który—wyniósłszy bogate doświadczenia z kampanii wrześniowej w Polsce—ocenia jasno sytuację.

Dowódca armii waha się jednak. Wydaje i odwołuje rozkazy i dopiero w godzinach rannych dnia 16 czerwca decyduje się ostatecznie na uderzenie całością sił w kierunku zachodnim. Wskutek tego koncentracja dywizji opóźnia się i odbywa w ciężkich warunkach.

Część oddziałów dywizji (6. pp., III/4. pp. i gros artylerii) zmuszona jest do wykonania marszów dziennych pod ustawicznym bombardowaniem lotnictwa niemieckiego, po drogach zapchanych wycofującymi się oddziałami, wszelkiego rodzaju taborami i falą uchodźców cywilnych. Powoduje to niezwykłe przemęczenie oddziałów, znużonych już i tak intensywną pracą nad rozbudową pozycji i niepotrzebnymi alarmami, spowodowanymi zmianą rozkazów.

Wieczorem dnia 16 czerwca siły główne dywizji skoncentrowały się w rej. Héricourt. Nieprzyjaciel jednak w trakcie tego sforsował rzekę Saone na całej linii i posunął się dalej na południe, zajmując Besançon.

Jak to było do przewidzenia, 5. p. p. i dyon rozpoznawczy skrwawiły się bohatersko w beznadziejnej walce z przeważającymi siłami wroga, nie zdołały go jednak powstrzymać i zostały odrzucone. Droga na zachód została zamknięta.

Dowódca armii rezygnuje z uderzenia w kierunku zachodnim i decyduje się pozostać z częścią sił swej armii w Wogezach, nakazując jedynie 45 korpusowi przebijanie się na południe wzdłuż granicy szwajcarskiej.

W związku z tym dywizja nasza, po osiągnięciu rej. Héricourt, nie zaznawszy chwili odpoczynku, rusza bezzwłocznie w składzie korpusu marszem nocnym, drogami przez Montbeliard w kierunku na St. Hippolyte—Maiche. Po dwudniowych forsownych nocnych marszach, o świcie dnia 18 czerwca dywizja osiąga rejon Maiche—St. Hippolyte.

Wróg w tym czasie, uporawszy się rychło z obroną Besançon, posuwa się szybko na przód i wyprzedzając jednostki korpusu opanowuje Pontarlier, zamykając drogę na południe. Żelazne kleszcze niemieckich wojsk pancernych otaczają dywizję z trzech stron półkolem od Montbeliard na północy do Pontarlier na południu. Odcinają one również drogi 5 pp. i dyonowi rozpoznawczemu dla połączenia z dywizją. Jedynie II baonowi 5 p.p. udaje się z nad Saone przedrzeć się do dywizji drogą przez Clerval—Maiche.

Reszta 5 pp. i dyon rozpoznawczy staczają beznadziejną krwawą walkę z masą niemieckich czołgów w Montbeliard i nie chcąc poddać się do niewoli rozpraszają się małymi grupami, szukając dróg na południe. Części ich udało się przedrzeć do Szwajcarii, części na południe Francji—reszta zginęła bądź wpadła do niewoli.

W związku z wytworzonym położeniem dowódca 45 korpusu decyduje się przerwać dalszy marsz i przez bitwę szukać wyjaśnienia sytuacji, by następnie w zależności od wyników bitwy przebijać się w dalszym ciągu na południe, bądź też wycofać się do Szwajcarii, aby nie złożyć broni w ręce nieprzyjaciela.

Zgodnie z tą decyzją dywizja organizuje obronę na wzgórzach Clos du Doubs, gdzie stacza dwudniową bitwę.

Pod Maiche, Damprichard, Trevillers, St. Hippolyte w ciągu dnia 18 i 19 czerwca oddziały nasze odpierają zaciekłe natarcia Niemców, zadając im ciężkie straty. Jak przystało na żołnierzy polskich, pomimo zaraźliwego przykładu wycofujących się innych oddziałów, stawiają dzielnie czoło przeciwnikowi bez myśli o odwrocie. Są strażą tylną korpusu—wytrwają.

Toteż w wyniku dwudniowej walki pozycja utrzymana jest całkowicie i nienaruszona w żadnym punkcie. Wszystkie natarcia niemieckie odparte. Niestety—brak amunicji. Ładownice wielu piechurów puste, baterie posiadają zaledwie po parę pocisków na działo. Należy przerwać walkę i zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza Wojsk Polskich wycofać się do Szwajcarii.

W dniu 19 VI. wieczorem, na rozkaz dowódcy dywizji, oddziały opuszczają pozycję i pod osłoną straży tylnych wycofują się przez przejścia graniczne w Bremoncourt, les Piqueroz, Goumois do Szwajcarii, aby na wolnej ziemi złożyć swój talizman żołnierski—broń.

Oddziały przekraczają granicę w szykach zwartych, defilując po raz ostatni z nasadzonymi bagnetami przed swymi dowódcami. Defilują dumnie z podniesionym czołem jak przystało na żołnierzy, którzy swój obowiązek spełnili sumiennie do końca.

Ocenił ich rzetelną pracę i żołnierską postawę dowódca korpusu, odznaczając całą dywizję i wszystkie jej pułki francuskimi wojennymi krzyżami Croix de Guerre.

Ocenił to również szlachetny i rycerski Naród Szwajcarski, otwierając nam na oścież swe serca i chaty i otaczając nas wzruszającą serdeczną opieką. Naród ten, miłujący wolność nade wszystko, zapewne w ten sposób chciał nam osłodzić gorycz rozstania się z bronią i wynagrodzić ofiary i znoje poniesione dla sprawy wolności.

Tak się skończyły działania Dywizji Strzelców Pieszych na froncie francuskim.

Nie dano jej walczyć w całości, a rozproszono ją w różnych punktach wielkiego frontu. I tak: 2/3 dywizji walczyło w rejonie Maiche-St. Hippolyte, Trevilliers, Damprichard, 1/3 zaś (5 pp. i dyon rozpoznawczy) krwawił się nad rzeką Saone, wreszcie drobne jej delegacje (dywizyjna komp. ppanc. i komp. ppanc. 4 pp.) walczyły aż hen na północnym odcinku frontu, na przedpolu Paryża.

Było to naszym nieszczęściem. Możemy jednak stwierdzić dumnie, że we wszystkich tych punktach wszystkie nasze oddziały spełniły swój obowiązek żołnierski sumiennie, zyskując sławę i uznanie dowódców oraz francuskich współtowarzyszy broni. Możemy być również dumni, że krew nasza, która obficie zrosiła ziemię francuską, nie poszła na marne i przyniosła obfity plon sprawie i sławę polskiemu orężowi.

M. C.

Marek Szwarc: Święto na niebie (drzeworyt)

Z walk "Czarnej Brygady"

Między Chatillon a Bordeaux

16.VI.1940 r. jesteśmy prawie całkowicie otoczeni. Zamykający się wokół nas worek ma tylko jedno wolne wyjście—na Dijon, które o ile zdążymy uchwycić, pozwoli nam uniknąć zupełnego otoczenia i odcięcia od reszty własnych oddziałów.

Po ciężkich i męczących nalotach dotarliśmy wreszcie do Chatillon, które zbombardowane przed chwilą—pali się. Wysyłam właśnie gońca dla nawiązania łączności z oddziałem, od którego—idąc stale na końcu kolumny—oderwaliśmy się trochę, gdy na dwuch cywilnych samochodach najeżdża grupka Francuzów. W bezładnych, chaotycznych słowach informują nas, że w odległej o jakieś 30 klm. miejscowości silny niemiecki oddział panc.-mot. wziął do niewoli kolumnę artylerii francuskiej. Zaczęło się robić gorąco. Ppporucznikom K. i W., którzy w tym czasie w centrum miasta kończyli załadowywać rannych, poleciłem opuścić natychmiast Chatillon i posuwać się w ustalonym kierunku.

Z grupą 30 ludzi, w tym 14 żołnierzy ze 115 p. franc. z lieut. de Loume, którzy dołączyli do mnie ochotniczo, pozostaję i decyduję się—na podstawie uzyskanych wiadomości—zamknąć aż do zmroku drogę wiodącą do Chatillon, przez wyjście z miasta, którego nie byłem w stanie bronić i w odległej o 10 klm. miejscowości zająć stanowisko okrakiem po szosie i opóźniać ruch nieprzyjaciela.

Bałem się, że kolumna ppor. K. może zostać zaskoczona albo w samym Chatillon, o ile dość szybko nie ukończy ładowania rannych i nie oderwie się, albo że może ją to spotkać w kolumnie marszowej na szosie co byłoby równie niemiłe.

Liczyłem na to, że potrzebny czas i przestrzeń do oderwania się tej kolumny zyskamy przez chwilowe, przypuszczalnie dość długie zatrzymanie się Niemców przy wziętej do niewoli artylerii francuskiej i przez ewentualną naszą walkę, którą na pewien czas powstrzymamy marsz nieprzyjaciela, o ile by pchał się do Chatillon. Liczyłem również, że przez ppor. K. nawiążemy utraconą łączność z d-cą dyonu mjr. Z.

Ponieważ nie mieliśmy mapy tej okolicy /jedyną samochodową posiadał ppor. K., który ze swoją kolumną odjechał/, całkowitą orientację w terenie oparłem na miejscowym "Besardzie," który na skutek ciągłych nalotów niemieckich i lęku przed ich przyjściem był mocno niedokładny. Chłopcy byli w dobrych nastrojach i jechaliśmy z przekonaniem, że urządzimy Niemcom przykry kawał.

Tymczasem stało się odwrotnie. Niemcy zdążyli podejść blisko miasta. W odległości jakieś 8 klm. od Chatillon wpadliśmy w ordynarną zasadzkę. Niemcy, czy to na skutek meldunku pętających się stale po niebie pojedyńczych wywiadowczych samolotów niemieckich, czy też jako ubezpieczenie postoju—urządzili zasadzkę. Umieścili z lewej strony szosy zamaskowane czołgi, a w zabudowaniach z prawej strony szosy spieszonych i dobrze ukrytych motocyklistów. Lekki zakręt szosy zwiększał element zaskoczenia.

Przepuścili nasz patrol bojowy i z odległości dopiero jakichś 400 m. otworzyli gwałtowny ogień. Ze sprawnością i szybkością, o jaką nigdy nie posądzałem jadących ze mną ludzi, spieszyliśmy się i gęsto ostrzeliwani zajęliśmy stanowiska za wałem szosy. Wytworzyła się sytuacja prawie beznadziejna. Przed nami ukryty i opancerzony nieprzyjaciel, za nami—teren otwarty i uniemożliwiający oderwanie się zorganizowane i bez strat.

Do przewidywanego miejsca nie dojechaliśmy. Nie mamy ani broni, ani amunicji ppanc. Zdaję sobie dokładnie sprawę, że gdy zamaskowane i strzelające z ukrycia czołgi ruszą do natarcia, to po prostu wgniotą nas w teren.

Jest mi przykro, że ludzie, którzy mi zaufali, dzięki mojej może niepotrzebnej decyzji powstrzymania Niemców pod Chatillon, znaleźli się w sytuacji prawie bez wyjścia. Wiem, że za wszelką cenę musimy wziąć inicjatywę i coś zrobić. Różne plany przychodzą mi do głowy, brak jednak odpowiednich środków walki czyni je niestety nierealnymi. W wybranym i dogodnym terenie moglibyśmy skutecznie stawić opór, zaskoczeni w otwartym polu, bez naturalnych przeszkód ppanc., byliśmy po prostu bezsilni. Lieut. de Loume zapalając papierosa, mówi lakonicznie: "*nous sommes perdus.*"

Zwracam się do żołnierzy z zapytaniem, kto na ochotnika podejmie się niespostrzeżenie podpełzać pod jeden najbardziej wysunięty czołg i podpalić go. My ściągniemy tymczasem całą uwagę i ogień nieprzyjaciela na siebie. Patrzą na mnie zdrożeni, jakby pytając, czy dobrze rozumieją, gdyż przecież głowę trudno wychylić zza wału, a co dopiero całemu się wysunąć. Robi mi się bardzo przykro. Proszę lieut. de Loume, aby pozostał przy ludziach i robię skok do pozostawionych na szosie samochodów. Odnajduję 20-litrową bańkę cywilną, gdzieś widocznie zarekwirowaną, gdy ktoś wyszarpuje mi ją z ręki i mówi: "*Mon Lieutenent vous êtes furieux.*" Jest to *caporal-chef* Deidier z 115 p. franc. a z nim nasz kpr. K.

Przyznaję się, że ucieszyłem się bardzo. Dla pozoru tylko próbuję jeszcze oponować, ale obaj są zdecydowani. Wbiegamy mimo ognia szczęśliwie za wał, gdzie teraz już wszyscy chcą z nami iść. Daję dyspozycje lieut. de Loume i plut. S. i powoli krok za krokiem czołgamy się.

Każdym nerwem bierzemy udział w strzelaninie, marząc i modląc się, aby chłopcy wytrzymali, strzelając aż do naszego podczołgania się. Czas wlecze się beznadziejnie, a drogi jakby nie

co raz częściej syczeć nad głowami. Dopełzamy wreszcie na jakieś 15 kroków do czołga. Capor.-chef Deidier i kpr. K. nie wytrzymują i z okrzykiem "hurra" rzucają się z bańką benzyny na czołg. Na moment robi się cicho, poczem wybucha bezładna strzelanina i krzyki.

Kpr. K. dostaje kulę w prawą rękę. Nic to, za chwilę czarny dym i ogień buchają z czołga. Strzelec czołgowy próbuje wyskoczyć, dostaje jednak kulą w głowę i zwisa.

Prawa ręka kpr. K. zapala się. Deidier wywraca go i rzuca się całym ciałem na jego rękę, tłumiąc ogień. W piekielnym, bezładnym ogniu próbujemy zabandażować mu ranną i poparzoną rękę. Deidier i kpr. K. uśmiechają się do siebie, poczem caporal-chef Deidier, zwracając się do mnie, powiada: "*C'est mon premier.*" Jestem zmęczony i trochę wzruszony, kiwam potwierdzająco głową.

Pozostałe dwa czołgi oszołomione tym całym incydentem, strzelając bez przerwy, wycofują się za zabudowania fermy do swoich motocyklistów. Leżymy tak naprzeciw siebie dłuższy czas. Od czasu do czasu zrywa się gwałtowniejsza strzelanina, aby za chwilę poprzestać na pojedyńczych strzałach. Powoli robi się ciemno. Cieszę się licząc, że pod osłoną nocy oderwiemy się i wycofamy do Chatillon. Okazało się, że i Niemcy czekali na to samo. W pewnym momencie usłyszeliśmy charakterystyczny stukot, a potem szum odjeżdżających motorów.

Rozpoczyna się obustronna strzelanina na ślepo. Noc nie pozwala ani widzieć celu, ani zorientować się w skutkach ognia. Obawiając się jakiegoś podstępu, każę patrolowi po chwili przeszukać zabudowania, lecz prócz spalonego czołgu i uszkodzonego motocykla nikogo już nie ma.

Pierwszy nasz samochód jest rozbity, pozostałe dwa jednak zdolne do marszu. Zabieramy rannych i powracamy do wolnego jeszcze Chatillon, gdzie umieszczamy się w szpitalu. Proszę lieut. de Loume, aby z moimi ludźmi jechał na południe, sam zostaję chwilę przy rannych. Odjeżdżam wycałowawszy się z Francuzami i chłopcami serdecznie. Za Dijon zaczynam znowu zbierać zabłąkane wozy. W południe mam już 9 samochodów i 4 motocykle.

Za Beaune—po wysłuchaniu przez radiotelegrafistę rozkazu Naczelnego Wodza—wysyłam asp. G. na Lyon—Marsylię, aby informował napotkanych Polaków o rozkazie. Z ludźmi kieruję się na Bordeaux, jadąc już bez odpoczynku.

Pod Clermond Ferrand żołnierze z Francji proszą mnie o zwolnienie, dla odszukania rodzin. Zwalniam 17, dając im zaświadczenia zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza. Luźne samochody i 3 motocykle zdajemy lieut. Leroux z 8 baterii 18 R.A.L.T. za pokwitowaniem. Z resztą jedziemy dalej.

80 klm. od Bordeaux psuje się radiostacja. Rozkazuję asp. S. z łączności, aby się przesiadł na Buldoga i poprowadził kolumnę do Bordeaux. Z obsługą radiostacji próbujemy usunąć defekt.

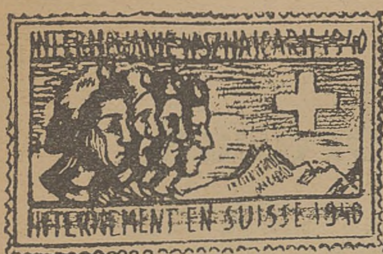
Po usunięciu defektu spotykamy kilku oficerów z Ośrodka Vichy, którym się zepsuł samochód. Zabieramy ich na błotniki i stopnie i jedziemy dalej. Pod Bordeaux spotykamy Ośrodek. Melduję się u płk. Z. W Bordeaux w nocy dowiadujemy się, że ludzie moi są, oraz że jest pod Le Verdon B.K. z Arpajon.

Uradowany jadę pod Le Verdon, gdzie 20.VI. rano o godzinie 5-ej melduję się u d-cy 10 p.s.k. mjr. Sł. Na śniadaniu w zaimprowizowanym kasynie, por. P. z broni panc. informuje mnie, że dołączeni przeze mnie do jego kompanii ludzie są już w porcie. Za parę chwil nowe radosne wiadomości. Asp. S. melduje mi, że buldogi są w komplecie i ewakuują P.C.K.

Witam się z chłopcami, cieszymy się wszyscy, że dotarliśmy w końcu do portu i będziemy mieli znowu okazję bić się za ukochaną Polskę.

M. J.

Polacy w Szwajcarii*



"Znaczek pocztowy internowania" wydany przez Komisariat dla internowanych w Bernie, wykonany według projektu artysty-żołnierza. (Z nr. 1 "Gońca obozowego" z b.r.)

Przekraczająca granicę Szwajcarii II-ga dywizja składała się głównie z Polaków mieszkających we Francji i z ochotników, najczęściej inteligentów, którzy napłynęli z kraju. Nagromadzona energia intelektualna tych ludzi skazanych na przymusową bezczynność, przejawiła się w dość zróżniczkowanej i bogatej już dziś organizacji życia umysłowego. Własne pismo obozowe, liceum i obozy uniwersyteckie, liczne imprezy teatralne—oto przejawy tego życia.

"*Goniec Obozowy — Wiadomości dla internowanych*" nie był wprawdzie pierwszym czasopismem polskim na ziemi szwajcarskiej, jak mylnie sugerował pierwszy numer tego pisma. Prasa polska istniała tu już dawniej, sięga ona nawet siódmego dziesiątka wieku XIX, kiedy wydawnictwo pism polskich przedsiębrały ośrodki emigracji demokratyczno-niepodległościowej czy grupy studenckie. Ale "Goniec Obozowy" był napewno pierwszym polskim pismem żołnierskim na ziemi helweckiej. Pozostanie jeszcze jednym wzruszającym dowodem życzliwości Szwajcarów, że to oni sami dali inicjatywę jego powstania w sierpniu 1940, złożywszy z Polaków w Moospinte pierwszy skład redakcyjny.

POWSTANIE I PIERWSZE TRUDNOŚCI PISMA

Pismo miało do pokonania wiele istotnych trudności: nie było czcionek polskich, trzeba było drukować systemem litograficznym, dorabiać czcionki polskie, nie było żadnej biblioteki podręcznej, w pierwszej fazie szwankowała łączność z obozami. Przez cały czas "Goniec" podlegał cenzurze szwajcarskiego oficera prasowego, który zatwierdzał wszystkie artykuły w tłumaczeniu. Skrępowany był przez neutralność Szwajcarii i dlatego z łamów jego były z góry usunięte wszelkie rozważania polityczne o sytuacji bieżącej.

ŻYCZLIWOŚĆ SZWAJCARÓW

Po miesiącu przeniesiono redakcję do Ostermundingen pod Berno. Od grudnia "Goniec" ukazywał się co dekadę, obficie ilustrowany /strona graficzna była zawsze przedmiotem szczególnej troski/ w nakładzie od 2000-3000. Pismo nabierało widocznie rozpędu, wzbogacało swą treść,—niestety z dniem 25 marca 1941 na numerze 22 zostało zamknięte. Z serdecznego tonu pożegnania między oficerem prasowym szwajcarskim Pozzy de Besta a gen. Prugarem-Kettlingiem możemy się domyślać, że to chyba tylko jedynie nacisk Niemców był przyczyną zlikwidowania pisma. Jak bowiem życzliwi byli Szwajcarzy temu pismu świadczą datki poszczególnych osób z Berna i Biel przekazane na fundusz prasowy "*aus Sympathie für die polnische Interniertenzeitung.*"

MYŚL O KAMPANII WRZEŚNIOWEJ I FRANCUSKIEJ

Obozy uniwersyteckie ogarnęły tylko grupę żołnierzy, "Goniec" w swych pragnieniach chciał być wyrazicielem myśli i przeżyć wszystkich internowanych, starał się stać dokumentem chwili. Odbijał na swych łamach przeszłość, teraźniejszość i kierunek nowych, przyszłościowych zainteresowań żołnierzy.

Że ich myśl ciągle wracała do kampanii wrześniowej i francuskiej, o tym świadczą liczne wspomnienia poświęcone tym bojom, niektóre bardzo żywe i przynoszące sporo materiału dokumentarnego. Redakcja "Gońca Obozowego" rozpisała konkurs na nowelę lub opowiadanie osnute na tle kampanii wrześniowej lub francuskiej, który dał pokaźny rezultat w formie 25 nadesłanych utworów.

STOSUNEK DO WSPÓŁINTERNOWANYCH

Wobec francuskich towarzyszy broni, wspólnie internowanych—o ile z pisma wnosić można—stosunek życzliwy. Wracających do swej ojczyzny Francuzów na mocy układu francusko-niemieckiego Polacy żegnali "spokojnie i bez zazdrości". "Ślemy za nimi—pisał "Goniec Obozowy"—serdeczne słowa pożegnania: Żegnajcie nam towarzysze broni. Szczęść Wam Boże! Bo my, żołnierze, ujmujemy nasz wzajemny stosunek tylko uczuciowo. My nie zapominamy nigdy czasów przeżytych wspólnie, a zwłaszcza nie zapominamy chwil, w których zmieszana krew nasza wsiąkła w tę samą ziemię, w tej samej sprawie przelana."

Jeszcze bardziej życzliwie kształtuje się stosunek wobec nielicznej setki internowanych Anglików, jak świadczy wymiana artykułów między angielskim oficerem, komendantem obozu internowanych a przedstawicielem redakcji "Gońca".



OPRACOWANY PRZY WSPÓŁUDZIALE 4 W.P.S.P.

WIADOMOŚCI DLA INTERNOWANYCH

ROK II. W OBOZIE, WTOREK, DNIA 21 STYCZNIA 1941 R. NR 3.

PAMIĘĆ O KRAJU

Teraźniejszość życia internowanych krąży ciągle wokół kraju. Jak bowiem słusznie pisał bratni organ "Gońca"—"Gazetka Obozowa": "Nie narzekajmy na los, który rzucił nas do obozu internowanych. Nie wolno nam też zapominać o tym, że los naszych najbliższych, którzy żyją na ziemiach okupowanych i tych, którzy znajdują się w obozach jeńców wojennych jest stokroć gorszy i godny największego współczucia."

Informował też "Goniec" w ramach swoich możliwości obficie o kraju, czy to przez przedruki z budapeszteńskich "Wieści Polskich" /bardzo sugestywny list z Warszawy/ czy przez stałą kronikę spraw krajowych. Myśl żołnierzy biegła też ciągle ku kolegom, "którzy pod skrzydłami noszą śmiercionośny ładunek bomb lub szkolą się na wrzosowiskach Szkocji." Z komentarzy do walk w Afryce widać też, z jakim natężeniem śledzą przebieg dalszej rozgrywki wojennej.

INFORMACJE O ŻYCIU W OBOZACH

Ale "Goniec" przynosi też sporo informacji o ich własnym wewnętrznym życiu. Nie uchyla się od kreślenia nudy, beznadziejności wyczekiwania, jakie zawisły nad życiem niektórych obozów /r. II, nr. 6/. Że nastroje te w większości obozów zostały przełamane, o tym świadczy dość bogata kronika imprez kulturalnych. Zwłaszcza Święta Bożego Narodzenia stały się okazją do urządzenia przelicznych szopek, jasełek i t.p. W niektórych miejscowościach, ludność szwajcarska urządziła dla internowanych gwiazdkę, co "uroczystości tej dało cechę wzajemnej przyjaźni i zrozumienia. Szwajcarzy musieli odczuć coś nadzwyczajnego i ciekawego w naszym sposobie obchodzenia świąt, gdyż jeden po drugim wchodzili, przyglądali się i odchodzili wzruszeni."

IMPREZY ARTYSTYCZNE

W niektórych obozach /np. 4. P.S-P./ istnieje zresztą już wyrobiona tradycja imprez od chwili przyjścia na ziemię szwajcarską. Z licznych chórów wybiły się dwa, które przez publiczne występy stały się "narzędziem propagandy muzyki polskiej na obszarze zajmowanym przez nasze obozy.' Zespół artystyczny z Grünenmatt zacząwszy w lipcu ub.r. od ognisk żołnierskich przeszedł do przedstawień teatralnych, wystawiwszy "Wesele Górskie" i "Wiesława." Premiera pierwszego widowiska została "z uniesieniem przyjęta przez miejscową ludność," posypały się zaproszenia na występy gościnne.

PRACA NA ROLI

Wszystkie te jednak imprezy nie są w stanie wypełnić pustki życia internowanych, wyrwać ich z nudy i bezczynności. W lutym i marcu b.r. zjawiła się przed obozami możliwość pracy realnej, konkretnej—pracy na roli. Szwajcaria opierająca swe wyżywienie na dowozie z zagranicy, stanęła w związku z wojną przed niezwykle ciężkimi trudnościami. Przy obecnej powierzchni uprawnych gruntów zbiory pozwalają na wyżywienie 2 milionów ludzi podczas gdy ludność Szwajcarii wynosi obecnie 4 i pół miliona, a w czerwcu 1940 dała schronienie 40,000 obcych żołnierzy, w tym 12,000 Polaków. Miarą trudności przywozowych Szwajcarii może być fakt, że 100 kilo zboża sprowadzonego przed wojną z zagranicy kosztowało 2 franki, gdy dziś cena tego samego centnara waha się w granicach między 35-50 franków.

Wobec tej groźby głodu rzucono hasło zwiększenia powierzchni uprawnych gruntów, wyzyskania każdego skrawka ziemi. Dr. Wahlen, szef wojskowego Urzędu Wyżywienia stał się kierownikiem tej wielkiej "walki o zboże" szwajcarskiej demokracji. "Plan Wahlena" przewidujący nawet zaoranie parków i boisk sportowych wymaga zwiększenia ilości sił roboczych. Nic więc dziwnego, że do udziału w kampanii "walki o zboże" na mocy zarządzenia komisarza dla spraw internowania powołani zostali wszyscy Polacy. Także internowani studenci w obozach uniwersyteckich i w liceum muszą wakacje śladem kolegów szwajcarskich spędzić na pracy na roli. Za pracę tę otrzymują internowani poza żołdem drobne wynagrodzenie.



Kolega Anglik z psem-maskotą (Z nr. 7 "Gońca Obozowego" z b.r.)

UROK DEMOKRACJI HELWECKIEJ

Praca na roli wespół z Szwajcarami zbliży niewątpliwie Polaków bardzo z ludnością tej chłopskiej demokracji. Dotychczasowy pobyt na gościnnej ziemi helweckiej da niektórym sposobność dobrze poznać mechanizm życia społecznego i gospodarczego tego niezwykłego kraju. Z kilku artykułów w ostatnim numerze "Gońca" widać, że żołnierze nasi stoją pod urokiem sprawności i osiągnięć gospodarczych, swobód politycznych i religijnych, a przede wszystkim stopy cywilizacyjnej najszerszych warstw tego kraju. Widać, że imponuje im tak samo organizacja szkolnictwa, jak spółdzielczości, czy samorządu wiejskiego. Podoba się im tak samo wysoki poziom przemysłu mleczarskiego, jak ogrodnictwa czy sadownictwa. Zachwycają się wspaniałymi szosami. Ale nie zatrzymują się oni na tych zewnętrznych przejawach zdobyczy cywilizacji materialnej, sięgają głębiej. Zastanawia ich swoboda językowa i religijna kraju, specyficzność jedynego w świecie ustroju kantonalnego, rola opinii publicznej i dojrzałość polityczna mas.

WIEŚ SZWAJCARSKA

Pochodząc z kraju rolniczego, z zazdrością patrzą zwłaszcza na wysoki poziom bytowania wsi: "Wieś stoi tu wysoko i ma opiekunów w związkach, które troszczą się o to, co rolnik powinien wiedzieć, gdzie i jakie czynić zakupy, jakie wprowadzać maszyny, komu, co i kiedy sprzedać. Nie ma tu większej własności i nieznane są gospodarstwa ponad 30 hektarów, ale jak żyje chłop, o tym wiemy. Przekonaliśmy się, jak pracuje, jak jeździ własnym autem, jakie ma bydło i dobrze odchowane, silne konie, jaki zapas narzędzi, jak celowo i mądrze postawione budynki, jak mieszka i jak się obchodzi ze służbą. Tu wszyscy przy jednym stole i jednako ubrani, a Fryc od koni, to nie żaden pośledni gatunek, jakieś ćwierć człowieka. Tego im szczerze zazdrościmy."

Nic dziwnego, że zajmując tę postawę wobec Szwajcarii myśl żołnierzy o nowej Polsce, o jej przyszłym obliczu, zaczyna ją łączyć z obecnym ustrojem demokracji helweckiej. "I kiedy na wstępie—pisze Piotr Adamowski w artykule "Jak widzimy Szwajcarię" /Goniec Obozowy, nr. 7, 1941/stawiam pytanie: Jak widzimy Szwajcarię?—odpowiedź będzie brzmiała bez wahania: Tak jak byśmy chcieli—z uwzględnieniem naszych właściwości—widzieć w przyszłości Polskę."

Podpisując się oburącz pod tym wnioskiem, stwierdźmy ubocznie, że ten "praktyczny uniwersytet życia Szwajcarii" może być jednym z najcenniejszych, najbardziej wzbogacających krąg doświadczenia polskiego wyników przymusowego pobytu na gościnnej ziemi Pestalozzi'ego.

Adam Ordęga

*Por. pierwszy artykuł tego cyklu druk. w nr. 8 "Polski Walczącej."

Wszystkim, którzy okazali nam tyle pomocy i serca w tragicznej chwili utraty męża i ojca ś.p. płk. dypl. inż. Kazimierza STEFCZYKA na tej drodze z głębi zbolałego serca składamy serdeczne "Bóg zapłać."

Teofila Stefczykowa z córkami

Ś. P. major-pilot Antoni Woroniecki

Nie dane mu było zginąć śmiercią lotnika, choć całe swe życie poświęcił służbie w tej rycerskiej broni. Nie dana została mu śmierć żołnierza, choć całe swe życie był żołnierzem i przez całe swe życie walczył dla Ojczyzny. Musiał umrzeć inną, bardziej gorzką, ale jakże wyraziście polską śmiercią—na serce. I tak odszedł od nas cicho, nagle, prawie że niepostrzeżenie jeden z najpierwszych i najstarszych—nie wiekiem, lecz służbą—pilotów polskich.

Z ławy szkolnej w rodzinnym Poznaniu zostaje wciągnięty w r. 1915 we wrogie szeregi niemieckie. Staje się z musu i niewoli żołnierzem pruskim, ale po to tylko, aby walkę z zaborcą, którą jako chłopiec prowadził umysłem w szkolnej organizacji tajnej, podtrzymywać czynem jako mężczyzna. Pod nienawistnym, wrogim mundurem—biło uparte i niezmożone wówczas serce polskiego, dla Polski żyjącego żołnierza.

...Polskie też szczęście uśmiecha się tej jego determinacji i brawurze. Po ukończeniu szkoły lotniczej (zawsze był drobny, a w tych dawnych, jakże dziś odległych czasach "Wojny Światowej," dowództwu niemieckiemu wydawał się urodzonym na pilota)—dostaje się na front zachodni i tu też—przy pierwszej sposobności—wyrywa z niemiecką maszyną i niemieckim obserwatorem na karku—do Francji, do wolności, do Polski. Obserwator, mimo że mógł (mimo że nawet był powinien strzelić z tyłu w łeb wyraźnie wiejącego pilota) nie zdążył oprzytomnieć, gdy już ś.p. Antoni Woroniecki, śmiejąc się z radości i pychy, oddawał i jego i maszynę w ręce nadbiegających Francuzów.

Wrócił do Polski, jako podporucznik-pilot z armią gen. Hallera w styczniu 1920 r. Natychmiast też dołączył do akcji wojennej, prowadząc w Poznaniu przez kilka miesięcy szkołę pilotażu i jeszcze tegoż zwycięskiego roku dowodząc 14 eskadrą lotniczą wielkopolską. Został odznaczony wojskowym krzyżem "Virtuti Militari" i pozostał w służbie wojskowej aż do r. 1935, dochodząc do rangi majora i dowódcy dywizjonu, po czym wiek i sterane zdrowie nakazały mu przejść w stan spoczynku.

Od pierwszego dnia wojny obecnej staje na przydzielonym mu stanowisku w Sztabie Głównym, przechodzi gehennę polską i przez Rumunię przedostaje się do Francji, gdzie szczęśliwy—wraca do służby. Z katastrofy francuskiej wyratowuje powierzoną mu szkołę lotniczą do Anglii i tu, w marcu 1941 r. na ziemi angielskiej—umiera.

Gościnna ziemia angielska pozwoli Ci, majorze Antoni Woroniecki śnić Wielki Sen o powrocie do wyzwolonej—i Twoim także trudem—Wielkiej i Wolnej Polski.

...Niechaj tymczasem—do chwili zwycięstwa—na Twym grobie—jak i na wszystkich polskich tu trumnach wyryte zostaną wiecznie żywe słowa: ..."EXORIARE ALIQUIS NOSTRIS EX OSSIBUS ULTOR"—Niech powstanie z kości naszych mściciel.

Kolega



Żołnierz angielski słucha o Polsce

W lutym i marcu miałem przyjemność—to słowo jest tu w pełni uzasadnione—objeżdżać szereg jednostek armii brytyjskiej w różnych częściach Anglii z odczytami o Polsce. Organizowała je jedna z wszechnic angielskich w porozumieniu z władzami wojskowymi W. Brytanii. Armia brytyjska krząta się pilnie wokoło dostarczenia strawy duchowej dla swoich żołnierzy, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro tak wielkie masy żołnierskie czekać muszą na—swoją kolejkę w wojnie, trzeba im w czasie oczekiwania dać maksimum wiadomości, pobudzeń myślowych, zajęcia umysłowego.

Nie posiadam dosyć słów uznania dla sprawności organizacji tych odczytów, organizacji, którą przez lata pobytu w Anglii nauczyło się cenić: organizacji, chciało by się powiedzieć, bardzo ludzkiej, dokładnej, prostej. Nie ma żadnego nadmiernego tamtamu, żadnych szumnych przyjęć, żadnej przesady. Jest szczera gościnność, uprzejmość prawdziwych dżentelmenów, spokojna dokładność w organizacji, ludzkie zaufanie do wypowiedzianych przez prelegenta sądów.

Udział w odczytach jest dobrowolny: nikt nikogo nie zmusza. Żołnierze przychodzą w przerwie w swoich zajęciach, dyskutują odważnie, bez żadnego lęku. Oficerowie ani na chwilę nie próbują zmienić charakteru tej żołnierskiej imprezy: "to wasze przedstawienie—powiadają z humorem,—my możemy się potem nagadać w messie."

Na skutek takiego postawienia sprawy żołnierze zadają pytania, które są najciekawszą częścią dla prelegenta. Pytania sformułowane są jasno, dobitnie, wszystkie słowa siedzą doskonale na miejscu. Na żołnierzach widać wieki parlamentarnej praktyki tego narodu: każdy umie mówić, każdy potrafi dyskutować kulturalnie, spokojnie, bez zacietrzewienia. Mało kiedy w naszym środowisku, nawet o tzw. kulturalnych pretensjach—słyszy się w dyskusji pytania tak świetnie ujęte, tak w sedno trafiające.

Zaciekawienie żołnierza angielskiego Polską jest szczere, podziw jego dla naszego wysiłku niepodrabiany. Trzeba jeździć po Anglii, ażeby przekonać się jaki wspaniały walor propagandowy stanowią nasi lotnicy. Wszędzie—w jednostkach wojskowych, w urzędach, w każdym kontakcie z taką czy inną "władzą," w rozmowach pensjonatowych — zaczepia się rozmowa nieodmiennie o polskich lotników. Możemy z nich być dumni. Mają uznanie, sympatię, są czynnikiem, który musimy osłaniać najstaranniejszą opieką. Jest to nasza najlepsza, by tak rzec, inwestycja.

Żołnierz angielski chciałby wiedzieć najwięcej o lotnikach, o flocie polskiej, albowiem ta zabezpiecza szlaki Anglii, albowiem dowozi żywność, "*munitions,*" walczy na szlaku atlantyckim. Ale nie tylko te rzeczy interesują żołnierza angielskiego, który jest obudzony umysłowo, ruchliwy myślowo, otwarty na świat. Chciałby wiedzieć jakie są istotne zamiary Niemiec wobec Polski, czy Niemcy chcą zmienić Polskę w kolonię; chciałby wiedzieć jaki będzie ład po wojnie w Polsce, jak Polska upora się z tysiącem trudności odbudowy? Chciałby wiedzieć—i to bardzo—jak przedstawia się sprawa naszych granic wschodnich.

Nie poruszałem tych rzeczy, albowiem temat wyznaczał mi mówienie o Polsce pod okupacją niemiecką, ale we wszystkich jednostkach zadawano mi pytania—nieraz szereg pytań—o nasz stosunek do Rosji, na temat położenia Polaków pod zaborem rosyjskim. Pytania te były formułowane ostrożnie, ale w dyskusji czuło się wyraźnie, że żołnierz brytyjski nie żywi bynajmniej nadmiaru podziwu dla siły militarnej Rosji, że traktuje Rosję raczej krytycznie i że nie oczekuje z jej strony jakiegoś zbawienia dla kontynentu Europy.

Gdy porównam wrażenia, jakie wyniosłem z objazdów odczytowych po Anglii z zimy 1940 a nawet jeszcze lata 1940 (w dobie walenia się Francji) z obecnymi—widzę poważną zmianę. Pamiętam jak w lutym 1940 w odczycie do Royal Empire Society w Bristolu, kiedy tłomaczyłem zasady i cechy kampanii polskiej, zamiary niemieckie na Wschodzie, metody Rzeszy w Polsce—natrafiałem na nieufność i jakieś wyczekiwanie słuchaczy. Pamiętam jak zadawano mi jeszcze w czerwcu 1940 (w czasie innej tury w okolicach Hereford i samym Hereford) pytania nacechowane wyraźnymi zastrzeżeniami. Były tam uwagi, że "przecież Niemcy nie są najgorszym narodem," że "jednak nie możemy ich całkowicie potępiać" i t.d.

Dzisiaj obraz uległ zupełnej zmianie. Żołnierz angielski nie ukrywa swojej zawziętości, oburzenia—wypowiada zdania ostre, najostrzejsze, potępienia, które nieraz zaskakują prelegenta mającego w pamięci łagodny ton z przed roku.

Są to zmiany pożądane. Pożądana także i pocieszająca jest ta żywa sympatia dla Polski, Polski, która przybliżyła się Anglikom przez nasz opór wrześniowy, przez szybkość stworzenia sił polskich we Francji, przez niezachwianie się Polaków po zawaleniu się Francji, przez pracę naszych skrzydeł nad ziemią angielską, naszej floty na morzach, naszych żołnierzy w Szkocji. Są to wkłady cenne, bardzo ważne, decydujące.

Dlatego każdy wyjazd do armii brytyjskiej jest przeżyciem pożywnym, dobrym. Atmosfera życzliwości, zaciekawienia nie jest czymś sztucznym ani koniunkturalnym. Trzeba pielęgnować te sprawy, trzeba ich nie zaniedbywać, posiadamy bowiem dzisiaj w Anglii kapitał, który trzeba w pełni wyzyskać—wyzyskać umiejętnie, bez przesady, bez narzucania się. Wyzyskać nie tylko przez mówienie o okrucieństwie najeźdźcy, nie tylko o obrazie negatywnym, ohydnym, ale także o naszej woli naprawy, odnowienia, naszej myśli na przyszłość. Anglik nie zatrzyma się tylko na cierpieniu, na bólu, na tragedii; chce wiedzieć jaki powstanie z tego świat. I o tym świecie trzeba mówić, skromnie ale stanowczo, bez tromtadracji, ale i bez kompleksu niższości.

Trzeba i warto.

Zbigniew Grabowski

O Anglii i Anglikach

POŻYTECZNE WYDAWNICTWA — ANGLICY O SOBIE — JĘZYK ANGIELSKI I JEGO TRUDNOŚCI — CECHY CHARAKTERU ANGIELSKIEGO.

Pomimo wojny i ograniczeń papieru produkcja wydawnicza Anglii jest dalej nie tylko żywa, ale ogromna. Trudno doprawdy zorientować się w powodzi książek, które wychodzą na wszelkie możliwe tematy.

Dla Polaków przebywających w Anglii dalej ważne są te opracowania, które dają pogląd na dzieje i charakter tego narodu.

Wśród wydawnictw, które w ostatnich czasach pojawiły się a dotyczą dziejów i charakteru angielskiego wyróżnić trzeba serię p.n. "*Britain and its people*" wydawaną przez czcigodną wszechnicę szkocką w St. Andrews. Wydawnictwo to przeznaczone jest dla sił zbrojnych W. Brytanii i dla armii sprzymierzonych. Broszury obejmują arkusz druku albo nieco ponad arkusz (do 20-tu stron) a wydano ich dotychczas czternaście.

Wstęp do serii napisał *Lord Macmillan,* który w zarysie przedstawia zadania wydawnictwa a równocześnie daje dobry wgląd w charakter obu narodów żyjących na wyspie: Anglików i Szkotów. Na pierwszy ogień idzie broszura R. G. Cant'a p.t. "*The making of the nation,*" gdzie ujęto możliwie zwięźle narastanie ras na wyspach brytyjskich i wreszcie zespolenie się trzech ras: Anglików, Walijczyków i Szkotów w jedną społeczność. Dla Polaka tego rodzaju przegląd będzie na pewno pouczający. Okazuje się, że t.zw. różnice dzielnicowe, które przez tak długi czas trapiły umysły w Polsce, mogą być źródłem nie sporu bezpłodnego i jałowego, ale właśnie źródłem twórczych przeciwstawień, pożytecznych starć. Mogą—i powinny—przynosić nowe siły w życie całości, dawać natchnienia, uzupełniać braki jednej rasy cnotami i zaletami drugiej. Ażeby jednak tego rodzaju różnice, które w Anglii były rasowymi a nie już dzielnicowymi, zostały tak pożytecznie wprzęgnięte w jeden rydwan wspólnego interesu, musi powstać zrozumienie, że wszyscy są jednako konieczni.

Broszura "*Some aspects of the English language*" nakreślona przez Dr. Jamesa Oakdena jest miła dla Polaków z tego powodu, że stara się wniknąć w trudności języka angielskiego z punktu widzenia polskiego żołnierza w Szkocji. I tu znowu przekona się polski czytelnik, jak rozmaite i mnogie są formy gwar angielskich i że w różnych częściach kraju istnieją różne właściwie języki, w których trudno się połapać samemu Anglikowi. Język angielski zachowuje godny uwagi szacunek dla tych dialektów. Tzw *Standard English* jest wynikiem długiego rozwoju—600 lat trwa ten rozwój—a język angielski jest jednym z najżywszych jakie istnieją: niezmiernie szybko przyswaja sobie nowe wyrazy z obcych języków, kuje nowe wyrazy, przerabia stare formy na nowe. Jest on rzadko giętki, podatny, plastyczny.

Dr. Oakden zaznacza słusznie, że prostota języka angielskiego jest złudna: jeżeli znajdzie się on w rękach człowieka nieumiejącego nim władać, wówczas jest to język dziwnie szary, nudny, nieciekawy—jeżeli jednak znajdzie się w rękach człowieka znającego tajniki języka, posiada on wtedy bogate odcienie. Polacy, którzy twierdzą, że język angielski jest tak "bajecznie łatwy" powinni pamiętać a tym, że dobry język angielski jest w rzeczywistości bardzo trudny i że bogactwo języka angielskiego wychodzi na jaw dopiero wtedy, gdy zaczynamy na serio studiować ten język.

Broszura "*British Characteristics*" skreślona przez J. N. Wrighta daje wiele cennego materiału. Autor zaznacza słusznie, że żegluga, wędrowanie po morzach nie zbudowały wielkości Anglii. Trzeba było jeszcze innej cechy charakteru, aniżeli pociąg do morza i przygody, ażeby stworzyć budynek i zręby Imperium. Tutaj potrzebna była cecha tak rzadka w innych narodach a tak pięknie rozkrzewiona w rasie brytyjskiej: umiejętność kierowania (*leadership*). Tę umiejętność posiada rasa angielska w dużej mierze i wtedy, gdy potrafiła tę wielką cechę i cnotę odpowiednio zorganizować, Anglia była silna. Gdy umiejętność ta spadała, gdy słabła, Anglia przechodziła ciemne i ponure okresy.

Autor ma słuszność, gdy podkreśla, że zbudowanie Imperium wymagało olbrzymiej ilości energii i zapału i że w ostatnich 300-tu latach — rasa angielska wykazała niebywały rozmach w tym względzie. I znowu: wszelkie odejście z tego szlaku, wszelkie zaniedbanie tej energii, wszelkie mrzonki pacyfizmu, wszelkie osłabienie rytmu dawało klęski niepowodzenia w życiu W. Brytanii.

Słuszna jest uwaga autora, gdy mówi, że Anglik mało zainteresowany jest oderwanymi ideami politycznymi czy nawet formami rządu—dla niego ważna jest realna wymowa faktów, sprawność danego rządu, umiejętność rządzenia. Ważne jest dla niego to, jak jego osobiste życie się układa i dlatego odrzuci nawet najbardziej szumne teorie polityczne, jeżeli nie będą one oparte na ludziach uczciwych i jeżeli nie pozwolą one obywatelowi na prowadzenie ludzkiego i uczciwego życia.

Również stanowisko Anglika wobec religii jest dalekie od teorii: Anglik potrzebuje wiary, potrzebuje religii jako wyrazu ludzkich instynktów — miłosierdzia, wyrozumienia, sprawiedliwości.

"*Britain's Economic Resources*" pióra J. W. Nisbeta daje pożyteczny przegląd bogactw i możliwości gospodarczych W. Brytanii. Broszura daje wgląd w strukturę społeczną i gospodarczą Anglii, gdzie rozdział własności jest dalej zdumiewająco nierówny (po wojnie 400,000 osób w Anglii czyli mniej niż 1 procent skupiało w swoich rękach 75 procent własności kraju a 36,000 osób aż 1/3 tej własności). Książeczka jest zaledwie napoczęciem ogromnych i wielce zawiłych zagadnień bogactwa i gospodarki Anglii.

"*Education in Great Britain*" daje zestawienie pracy na polu wychowania. W tym względzie robi się w latach ostatnich wielkie wysiłki, albowiem szkolnictwo angielskie, jeżeli chodzi o nowoczesność, zarówno w budynkach szkolnych, urządzeniach jak programach, pozostało niejednokrotnie w tyle za nowoczesnym szkolnictwem Skandynawii czy Szwajcarii.

Inne broszury w wspomnianej serii mówią o literaturze angielskiej, wzroście Imperium Brytyjskiego, stosunkach ekonomicznych między członami Imperium, historii Szkocji i.td.

Całość jest pożyteczna, stanowi świetne wprowadzenie i powinna być czytana przez naszą armię i naszych cywilów na wyspach brytyjskich.

Antoni Jawnuta

Z prasy czechosłowackiej

W ostatnich paru tygodniach ukazało się w prasie czechosłowackiej dużo wzmianek o Polsce.

P. Jarosław Andrlik poruszył na łamach "Czechosłowaka" zagadnienie współpracy Polaków z Czechami w Ameryce. Podkreślając konieczność współpracy między obu emigracjami autor zaznaczył, że po wojnie powinien nastąpić powrót do kraju tych żywiołów, które w Ameryce ulegają wynarodowieniu. Trzeba będzie zapełnić luki spowodowane wojną i krwawymi rządami okupantów. Na tym polu współpraca Polaków z Czechosłowakami może być bardzo owocna.

"Prapor" podał bardzo zajmujące przemówienie Prezydenta Benesza, wygłoszone podczas gościny w jednym z oddziałów czechosłowackich. Prezydent mówił o cierpieniach narodu czechosłowackiego, o potrzebie zgody, o celach wojny. Podreślił, że stosunki z Polską są serdeczne i że już nie dojdzie do sporów. Zaznaczył, że Polska dąży do tego, by do federacji środkowo-europejskiej zostały włączone Węgry. Druga federacja miałaby powstać na Bałkanach.

Prezydent Benesz podkreślił też swą niezachwianą wiarę w zwycięstwo. Przypomniał, że podczas wojny światowej wzywał Francuzów, by odbudowali państwo czeskie. Niemcy byli wówczas pod Compiègne, niedaleko od Paryża, walczyło się uparcie o każdy metr kwadratowy terytorium, więc szaleństwem wydawało się marzyć o zdobyciu Pragi. Ale też nie chodziło o to, by armia francuska doszła do Pragi. Wystarczyło, by zwyciężyła pod Compiègne. Tak też będzie i tym razem. Runie potęga niemiecka, a na uciemiężonych obszarach nastąpią powstania i przewroty.

"Nasze Nowiny" podały cały szereg cyfr z przemówienia gen. Janouska o działalności lotnictwa czechosłowackiego. Myśliwcy wzięli udział w bitwie o W. Brytanię i w niewielu działaniach zniszczyli 37 samolotów nieprzyjacielskich tracąc tylko 2. Eskadra bombowców przeprowadziła ogółem przeszło 200 lotów nad Niemcami, zrzucając 400,000 funtów bomb kruszących i 25,000 bomb zapalających. Nad niektórymi miastami byli lotnicy czechosłowaccy już kilka razy, np. nad Berlinem 5 razy.

Ciekawe są informacje z Czechosłowacji. W Pilźnie, w zakładach Skody, przeprowadzili Niemcy masowe egzekucje wśród robotników. Okazało się bowiem, że Czesi do stali dodawali tego rodzaju przymieszki, iż armaty pękały po pierwszym wystrzale. W ten sposób zmarnowano 7 tysięcy ton stali.

Są Czesi, którzy współpracują z Niemcami, ale ich stanowisko jest ostro potępiane przez olbrzymią większość społeczeństwa. Także w Słowacji rzeczy nie idą tak, jakby sobie życzył przywódca miejscowych Niemców, Karmasin. Kilka razy doszło do bójek między żołnierzami słowackimi a niemieckimi, a w więzieniach siedzą wyżsi oficerowie armii słowackiej, oskarżeni o nawiązywanie kontaktów z wojskiem czechosłowackim w Londynie. Mimo agitacji Tuki i ks. Tisy, Słowacy pamiętają o braterstwie z Czechami i chcą kroczyć śladami wielkiego Słowaka gen. Stefanika któremu poświęcił w "Czechosłowaku" dłuższy artykuł ppłk. Jan Ambrusz. Czym dla Czechów grób Masaryka tym dla Słowaków mogiła Stefanika na Bradle koło Bratysławy.

W straszliwym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu razem z Polakami męczeni są także Czesi. Jedno z pism czeskich twierdzi, że stanowią oni trzecią część aresztowanych.

Że kampania bałkańska drogo Hitlera kosztowała, świadczy o tym wiadomość, że na Morawach i Czechach leży w szpitalach aż 60,000 Niemców.

Innego rodzaju "goście" to uchodźcy z Rzeszy, chroniący się przed nalotami R.A.F. Cyfra pół miliona głów jest może nieco przesadzona, ale chętnie wierzymy, że na użytek tych "gości" rekwiruje się pensjonaty, domy studenckie, schroniska turystyczne, klasztory. Do Słowacji również napływają niemieccy uchodźcy. Przybyło ich tam 30,000, a tyluż Słowaków musiało wyjechać na roboty do Niemiec.

Wspomnieć jeszcze warto o przygotowaniach do wojny z Rosją. Czeski urząd kartograficzny otrzymał od Niemców rozkaz wydania większej ilości map Ukrainy. Na Słowacji powstało ośm nowych lotnisk. Oficerowie niemieccy otwarcie mówili, że to przeciw Rosji. Materiał z czeskich fortyfikacji w Sudetach wywożono na wschód, nad granicę rosyjską. U Czechów antykomunistyczną proniemiecką robotą kieruje Jefremow, Ukraińców organizuje Skoropadskij. Na północnych Morawach tworzy się ukraińskie obozy wojskowe. W Bratysławie jeden z wyższych oficerów słowackich wyrażał radość, że słowackie wojsko będzie mogło walczyć przy boku Niemców z bolszewikami.

Zat

Mowa Naczelnego Wodza do kraju z dnia 22 czerwca 1941 spotkała się z największym uznaniem. Jest jasna i prosta. Władysław Sikorski stwierdził olbrzymi błąd, jaki Stalin popełnił wobec Polski, którą powinien uważać za tarczę, zabezpieczającą Rosję, a którą potraktował jako wroga. Naprawienie tego błędu leży w żywotnym interesie samej Rosji. Co się zaś tyczy obecnie wytworzonej sytuacji, *to obowiązuje nas w dalszym ciągu ta wielka prawda dziejowa, że największym wrogiem Polski byli i są w dalszym ciągu—Niemcy.* Z Niemcami toczy się walka na śmierć i życie i z linii tej walki nie zejdziemy, a do wszystkich zagadnień międzynarodowych ustosunkujemy się jedynie i wyłącznie pod tym właśnie kątem.

Mowa gen. Sikorskiego spotkała się z uznaniem, albowiem wyraziła prawdę, którą podświadomie czuje każdy, uczciwy Polak: metody sowieckie były dla nas wstrętne, były jak błoto, którym się z jakąś specjalną złośliwością obryzguje ludzi, maltretując ich niewiadomo w jakim celu. Natomiast uosobieniem Niemiec stał się tank—olbrzymi czołg idący po ciele Polski i niszczący tak społeczeństwo, że nie pozostają nawet po nim ślady krwi. Szykany urzędników sowieckich były i przykre i głupie. *Tymczasem Niemcy niszczyli polskość z całą piekielną, naukową systematycznością, wyrywając życie narodu z korzeniami.* To, co się dzieje na ziemiach okupowanych przez Niemców—nie ma precedensu w dziejach świata. Walka toczy się już nie o państwo polskie, nie o jego rolę dziejową, *ale o byt albo niebyt narodu.* Nie jest to żadna "gra polityczna," jak to starają się wmawiać w świat agenci piątej kolumny. Jest to walka, w której, w razie zwycięstwa przeciwnika—30 milionowy naród, pozbawiony elementarnych praw do życia, po całkowitym zniszczeniu jego inteligencji—może być naprawdę wydany na powolną śmierć. Nie wolno o tym zapominać, oceniając głębiej i rzetelniej wszystkie fazy konfliktu niemiecko-rosyjskiego.

To, co się stało dnia 22-go czerwca, jest następstwem przede wszystkim wadliwej polityki rosyjskiej w stosunku do Polski. Bardzo słusznie zaznacza gen. Sikorski, że Moskwa, we własnym swoim interesie, powinna wyciągnąć z tego faktu wszystkie wnioski na przyszłość i dążyć do przekreślenia tych błędów, do jakich należało przyłączanie do Rosji ziem, naprawdę jej nie potrzebnych. Jeżeli, jak twierdziła propaganda sowiecka, Stalin za-

Przegląd polityczny

jął wschodnią Polskę jedynie ze względów strategicznych, *to postawienie zasady niepodległości Rzeczypospolitej winno być w tej chwili pierwszym aktem politycznym Moskwy.*

Hitler rozpoczął wojnę nie po to, by pogorszyć, lecz aby poprawić swe położenie. *Nie musi być specjalnie dobrze w Trzeciej Rzeszy, jeśli widmo rdzewiejących karabinów spędza sen z oczu "twórcy jednolitego porządku w Europie."* Wojna z Rosją, typowy "Blitzkrieg," miał dać Führerowi tak pożądane surowce, miał dać olbrzymie zapasy żywności, oraz zupełnie już pewną podstawę do reżyserii końcowego aktu dramatu—to jest ataku na Wielką Brytanię. Miało być to, według obrazowego wyrażenie berlińskiego radia "uderzenie bagnetu w rozkładające się ciało."

Trudno, mając stosunkowo niewiele danych, stawiać pewne przypuszczenia, dotyczące dalszego rozwoju wypadków. Oczywiście, druzgocące zwycięstwo Hitlera w Rosji byłoby dla nas czynnikiem niepożądanym, ale w tym wypadku nie chcemy, żeby życzenie stawało się ojcem myśli. Natomiast niech nam będzie wolno zwrócić uwagę na fakt, że bardzo niebezpieczną rzeczą jest wyciągać wnioski strategiczne na przyszłość—z obrazu przeszłości. Nie wolno nam zapominać, że "Blitzkrieg" udał się w Polsce z powodu całkowitego nieprzygotowania narodu do nowoczesnej wojny, a we Francji z powodu błędów dowództwa, które Reynaud charakteryzował jako "niemożliwe wprost do uwierzenia." Rosja jest słaba pod względem organizacyjnym, ponadto źle przedstawiają się kwestie, związane z komunikacją i w ogóle łącznością. *Natomiast Rosja posiada te szanse, jakich nie miała ani Polska ani Francja, a jakie daje przestrzeń.* "Błyskawiczne zakończenie wojny" i całkowite zniszczenie armii rosyjskiej—może nastąpić wówczas, jeżeli Niemcy osiągną decydujące sukcesy w pierwszych dniach wojny. Natomiast połowiczne zwycięstwa, zajęcia tych czy innych miast—nie odgrywają w tym wypadku większej roli. Dwa tygodnie walk, bez decydujących rezultatów i dalszy pochód w głąb Rosji zwiększa w bardzo poważnym stopniu szanse Moskwy. Nowoczesna wojna maszynowa zużywa w ogromnym stopniu materiał i paliwa, to jest zapasy benzyny. Materiału Niemcy mają bardzo dużo, *natomiast z paliwem jest gorzej.* Nafta rumuńska wystarcza z trudnością, poza tym nie jest wcale wykluczone zniszczenie tych pól naftowych przez lotnictwo czy też oddziały spadochroniarzy rosyjskich. *A gdyby chociaż na krótki czas stanęły tanki niemieckie—wówczas sytuacja wojsk Hitlera staje się z miejsca nad zwyczaj trudna; Rosjanie rozporządzają, oprócz wojsk zmotoryzowanych—także olbrzymią masą kawalerii, którą, licząc się z terenem, zachowali jako rezerwę na wypadek wyczerpania "siły motorowej" przeciwnika.* Atak tej kawalerii, na wyposażone w niedostateczną ilość paliwa dywizje zmotoryzowane, oddalone od podstaw i pozbawione dowozu benzyny—może być bardziej niebezpieczny, aniżeli się to przypuszcza, operując tylko jednymi zasadami walki.

Albowiem, jak ogromnym błędem było niedocenienie roli motoru w nowoczesnej wojnie—tak samo błędem jest operowanie jedynie i wyłącznie elementem czołgu i samolotu we wszystkich możliwych działaniach wojennych. Jest to rzucanie się z jednej krańcowości w drugą i całkowita pewność popełniania strasznych błędów w rozumowaniu strategicznym i politycznym.

Do walki, która trwa już tydzień—a w chwili, kiedy piszemy te słowa, toczy się ciągle jeszcze na przedpolach głównej linii obronnej—wprowadzili Rosjanie o wiele większe siły, aniżeli sztab niemiecki przypuszczał. Bitwy, niezwykle zacięte, toczą się w dalszym ciągu, a ogromne "sukcesy" niemieckie należą do rzędu tych, które najtrudniej sprawdzić. Hitler chce, aby lotnikom niemieckim, którzy mieli zniszczyć "100 samolotów na lotniskach zaraz w pierwszym dniu walki"—wierzyć na słowo; to jednak przychodzi już światu co raz trudniej.

Wojna z Rosją—to jedna wielka skala wszystkich możliwości, zarówno politycznych, jak i wojskowych. W położeniu, w którym się znajdujemy, należy przygotować się na wszystkie możliwości, nawet na te, które jeszcze wczoraj uważano za całkowicie wykluczone. W wojnie błyskawicznej—możliwe są rozwiązania różnych zagadnień również "błyskawiczne," wymagające ogromnego daru intuicji i natychmiastowej orientacji. Brak tych danych może spowodować nie dające się odrobić straty. Innymi słowy: doszliśmy do przełomowego punktu w obecnej wojnie, do punktu, w którym, zarówno możność długiego trwania walki, jak i nagłego załamania się sił niemieckich nie jest bynajmniej "fantastyczna." Hitler przeżywa obecnie swój rok 1812. Historia nie powtarza się, ale powtarzają się ramy historii. O tym ani na chwilę nie wolno zapominać.

Występując przeciwko Rosji, liczył Führer na "zwycięstwo moralne" zarówno w Anglii jak i w Ameryce tudzież Japonii. Stanowisko W. Brytanii określił Churchill, a rząd amerykański najazd na Rosję, stanowczo potępił. Przed robieniem z Hitlera obrońcy katolicyzmu—przestrzegł świat premier państwa, które było przez całe wieki przedmurzem katolicyzmu. A rząd japoński został najwidoczniej zaskoczony biegiem wypadków. Ofensywa polityczna i ta oferta "pokoju," którą Niemcy usiłowały wysunąć za pośrednictwem Turcji—spaliła na panewce. Nie są wcale wykluczone żadne niespodzianki, o ile chodzi o "błyskawiczny sukces" ofensywy wojskowej.

tk

Poszukiwania

KAZIMIERZ IWANOWSKI prosi p. Z. CELARSKIEGO o skomunikowanie się z nim pod adresem: 25, Union Street, Grantham, Lincs.

Poszukiwany za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża, przez Dr. Sklenarza Leopolda /Dziennik Polski z dnia 21.I.41/—

a/ STRZEMBOSZ Stefan—znajduje się w Palestynie.

b/ Dr. MŁOTEK Mieczysław—Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich.

Wyszedł z druku Nr. 3-4
"WIADOMOŚCI WYDAWNICZYCH."
Miesięcznik, Cena 3 d.

informujący o ruchu wydawniczym książek polskich i angielskich o Polsce, oraz o ważniejszych wydawnictwach angielskich.

Pismo zawiera następujące działy:
I. Artykuły
II. Kronikę
III. Recenzje
IV. Bibliografię/polską i w j.obcych/
V. Dział porad w zakresie czytelnictwa.

Redakcja i Administracja: *Edinburgh, 14 High Street, Tweeddale Court.*

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach z polskimi pismami i książkami.

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.